

ΠΟΛ/Π  
Β 362

# A Z A N







# MYKOŁA BAŻAN

## Poezje wybrane

Wybór, wstęp, nota biograficzna  
FLORIAN NIEUWAŻNY

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Pismem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego  
z dnia 3 II 1970 r. Nr PR4-5521 LSW/70, seria zalecona  
do działów nauczycielskich bibliotek szkół średnich

Klub Poetycki:  
Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej  
Redakcji „Nowej Wsi”  
Ludowej Spółdzielni Wydawniczej

ISBN 83-205-3969-2

Komitet Redakcyjny: Józef Ozga Michalski (przewodniczący),  
Jadwiga Bandrowska-Wróblewska, Zbigniew Bieńkowski,  
Tadeusz Mocarski, Janusz Rohoziński, Roch Sulima,  
Maciej Zurowski

Projekt okładki: Wiesław Wałkuski

Copyright for the Polish edition by  
Florian Nieuważny, Warszawa 1986

## MYKOŁA BAŻAN — RZEŹBIARZ SŁOWA

Spośród debiutantów drugiej połowy lat dwudziestych niewątpliwie najciekawszą indywidualnością okazał się Mykoła Bażan. Urodził się 26 września (9 października) 1904 roku w Kamieńcu Podolskim, ale dzieciństwo spędził w Humaniu, gdzie pracował jego ojciec topograf. Kamieniec Podolski i Humaniń to miasta, gdzie były jeszcze świeże wspomnienia o kozackich buntach Gonty, Żeleźniaka i Karmeluka, a w czasie wydarzeń rewolucyjnych przetaczały się wojska różnych narodowości i orientacji politycznych. W Humaniu przez dwa lata występował głośny później teatr Łesia Kurbasa (1919—1920).

W Humaniu Bażan ukończył technikum handlowe, a stamtąd pojechał do Kijowa, aby kontynuować studia w Wyższej Szkole Handlowej i w Instytucie Stosunków Międzynarodowych. W Kijowie Bażan, pasjonujący się prywatnie grafiką, wchodzi w krąg zainteresowań literackich, zapoznaje się z propagatorem poezji awangardowej, panfuturystą Mychajlem Semenką (1892—1937), który wprowadza Bażana do literatury, zaprzyjaźnia się z wybitnym reżyserem filmowym Ołeksandrem Dowżenką (1894—1956), fascynuje się ekspresjonistycznymi spektaklami teatru Łesia Kurbasa „Berezil”.

Pierwszy okres twórczości (1923—1926) nosi na sobie wyraźne piętno futuryzmu i konstruktywizmu, czego widowym dowodem jest pierwszy po-

etycki tomik *17-ty patrol* (1926), gdzie dał wyraz heroice wojny domowej. Ale już w następnym zbiorze *Rzeźbiony cień* (1927) Bażan pokonuje wpływy futuryzmu i urbanizmu rodem z poezji Verhaerena i Whitmana i wypracowuje własny ekspresjonistyczno-barokowo-romantyczny styl, pozwalający poecie podejmować szeroki krąg ukraińskiej i ogólnoludzkiej problematyki, co zaświadczą ważne dla ukraińskiej poezji tomy wierszy Mykoły Bażana: *Budowle* (1929), *Droga* (1930), *Poezje* (1930) i poematy *Getto w Humaniu* (1928) oraz *Słepcy* (1930—31).

Od początku twórczości poetyckiej, świadomie przeciwstawiającej się ruralistycznej i postromantycznej ukraińskiej tradycji, Mykołę Bażana pasjonował problem stosunku człowieka do historii i zawsze interesowało go to, co stanowi o istocie bohaterstwa, jaki wpływ wywiera ono na postępowanie jednostki, jak daleko sięga ów heroizm, zresztą wielostronnie traktowany, do świadomości ludzi i w jakim stopniu przybliża przyszłość dla narodu, bo pojęcie narodu jest dla Mykoły Bażana kategorią równie ważną, jak postęp czy rewolucja, czy wreszcie piękno.

W kontekście tych kategorii oceniał Mykoła Bażan osobowość i dzieło takich ludzi jak wielki Gruzin Szota Rustaweli (poemat *Witeź w tygrysiej skórze* Mykoła Bażan przełożył na ukraiński i jest to, jak twierdzą znawcy problemu, najlepszy przekład na język obcy), jak Michał Anioł czy też Iwan Franko oraz Cyprian Kamil Norwid, z ich koncepcją pracy jako czynnika estetycznego, czy wreszcie Adam Mickiewicz, którego utwory, podobnie jak poezje Norwida, Bażan kongenialnie przeniósł na grunt ukraińskiej mowy.

Heroiczna postawa twórcy ceniącego mózół uporczywego zmagania się z niepokornym rzeźbiarskim tworzywem słowa łączyła się u Bażana z „przeklętym problemem” życia i śmierci, które walczą ze sobą po to, aby torować drogę „rzeczy świętej — wolności swego narodu”. Poeta pokazuje często owo zmaganie, aby zgłębić sens zjawiska bohaterstwa w szerokim kontekście historyczno-kulturowym.

Historia w różnych jej przejawach była najczęściej penetrowanym przez poetę obszarem. Wszystko prawie, co poeta napisał od 1924 roku, poddane było presji historii poetycko interpretowanej zarówno w poemacie *Słepcy*, jak i w dyskursywnym późnym poemacie *Nocne rozmyślenia starego majstra* (1975) czy w wierszach ostatnich lat życia, podejmujących kwestię wieczności i przemijania, by wymienić tylko cykl *Nocne koncerty* czy wiersz *Pamięci przyjaciela*.

Historię rozumiał Bażan nie jako sekwencję wydarzeń, faktów i postaci w ciągu przyczynowym czy chronologicznym, ale jako umiejętność wywoływania z niebytu żywej, drgającej, pulsującej, muskularnej przeszłości i sprawowaniu nad nią sądu w taki sposób, aby i czytelnicy mogli się zgodzić z werdyktem i sposobem argumentacji poety, który sam o sobie tak powiedział:

Przegnany

wicher przeszłości

z głuchł,

A ja na szlaku wszechludzkiem śpiewam

Jarmarczność świata, krzątaninę, ruch.

W ogromie jego już wieczność dojrzewa...

(Przeł. J. Waczków)



Z różnych punktów obserwowana historia sprawiła przecieź, że od samego początku twórczości aż do ostatnich utworów Mykoła Bażan był niezmordowanym tropicielem i rzeźbiarzem czasu. Czas bowiem w różnorodnych kształtach był głównym przedmiotem urzeczenia poety. W jego interpretacji czas nie jest jedynie pojęciem filozoficznym czy matematycznym. Poeta użycza czasowi cech własnej biografii — barwnej, urozmaiconej, burzliwej, jak przystało na poetę ukształtowanego przez największą burzę dziejową.

Spośród licznych swoich urzeczeń młody Bażan wybrał ostatecznie poezję, a uprawiał przecieź, obok aktorstwa (grał krótko w Humaniu), krytykę filmową (współpracował jako scenarzysta z filmem ukraińskim, redagował pierwsze pismo ukraińskie „Kino”, redagował film Dowżenki *Ziemia*) oraz dziennikarstwo. Postanowił wyciosać w słowie jak w kamieniu płaskorzeźbę heroicznej, przeżytej przez niego, rewolucyjnej epoki, zestawić ją z prądowymi czasami najazdów tatarskich, aby ujawnić kierunek rozwoju i nowy kształt dziejów. Stąd zjawily się *Maska gazowa* i *Krew w jasyr wziętych*, *Paproć* z jej pogańską witalnością i wreszcie *Noc Żeleźniaka*, dokąd wdarła się nuta buntu i rewolty spinająca hajdamacką przeszłość z rewolucyjną teraźniejszością.

Posługując się dłutem myśli, Mykoła Bażan z bryły czasu i słów wykuwał pełne namiętności postacie i ujawniał kolizje obnażające burzę uczuć i myśli, uwypuklał dynamiczne piękno sprzeczności, trudno uchwytną a przecieź ponętną dla poety dialektykę epoki.

Jawnym przykładem wykorzystania architektury dla wydobycia dialektyki dziejów jest poetycki

tryptyk *Budowle*. Wydawałoby się, że przed czytelnikiem wyrasta tryptyk stylów architektonicznych, uosabiających różne epoki, których symbolami były trzy budowle — gotycka katedra, barokowa ukraińska brama i współczesna konstrukcja domu mieszkalnego. Wnikliwa lektura słów-budowli pomoże wszelako usłyszeć „zgrzytanie zębów i zgrzyty granitu” w *Katedrze*, dostrzec „namiętność chciwego baroku” w *Bramie* i „potęgę budowania, gorący budowniczy krater” w *Budynku*. Mamy tu zatem udaną próbę poetyckiej historiozofii ujętą w cugle poetyckiej wizji.

Coraz częściej w twórczości Bażana zaczęły się zjawiać takie formy wypowiedzi poetyckiej, jak poemat-rozważanie, poemat-dysputa, poemat-sąd nad historią, czego dowodem jest *Rozmowa serc* (1928), gdzie posługując się formą polemiki z koncepcjami Dostojewskiego poeta dokonał błyskotliwej analizy wzajemnych dziejów Rosji i Ukrainy.

Nie są to chłodne, wykoncypowane, wierszowane rozważania, sztuczna dysputa, lecz słowa, w których dochodzi do głosu żywy i pełen pasji głos poety-myśliciela, dla którego niedaleka przeszłość stanowi punkt odniesienia do współczesności. Wychodząc z marksistowskich przesłanek Mykoła Bażan dokonuje kolejnego rozrachunku z fałszywymi tradycjami przeszłości — z ideą pokory i pogodzenia się z pokorą oraz przemocą w poemacie *Getto w Humaniu*, a także z wyborem fałszywych i anachronicznych wzorców osobowościowych i kulturowych w poemacie *Ślepcy*.

Poemat *Ślepcy* stawiał przed czytelnikami ważne pytanie o należyte i właściwe odczytanie przeszłości i o właściwy wybór drogi na przyszłość, zwłaszcza w kontekście twórcy — władza.

W poemacie tym — gdzie autor precyzyjnie oddał koloryt dawnych czasów, ich właściwości, specyficzny język — niewidomi żebracy śpiewający i grający na jarmarkach dla tłumu i „mecenasów” widzą więcej i dokładniej niż otoczenie i toczą spór. Stary lirnik pokryty strupami i przygięty pod brzemieniem mądrości usiłuje okiełznać młodego ślepcę rwącego się do walki, pragnącego „przemóc i przebić się, wystąpić jak mąż, a nie jak męczennik”, i wygłasza jedną z tych prawd, która, być może, bliska była Bażanowi:

Pamiętaj, co ślepiec sędziwy ci rzecze,  
I trzymaj w zanadrzu tę mądrość jak glejt:  
Jedyne, od czego na duszy jest lżej,  
To wsłuchać się w ciche serce człowiecze...

(Przeł. J. Waczków)

W poemacie *Noc Hoffmanna* (1928) Bażan zajął się kwestią intelektualnego rodowodu współczesnego inteligenta i systemu wartości, poddanego presji mieszczaństwa wskrzeszonego w poemacie plastycznie, drobiazgowo i celnie na przykładzie duchowej szamotaniny E.T.A. Hoffmanna, niemieckiego romantyka, którego „skrzydlate pióro” umiało przekłuwać pozłotę mieszczaństwa.

W tym i w następnych poematach oraz cyklach poeta podejmował problem prawdy dziejowej uwarunkowanej okolicznościami, problem klasowej interpretacji historii. Często w swoich poematach Bażan uciekał się do ironii. Ironia będzie mu służyła nie tylko w *Rozmowie serc*, ale również w innych znaczących poematach — od *Śmierci Hamleta* (1932) — utworu obracającego się wokół różnych kwestii humanizmu i udziału inteligenta

w wydarzeniach dziejowych — do *Wspomnień z Humania* (1972), wskrzeszających różnorodność dążeń ludzkich w czasie wojny domowej na Ukrainie (jednym z tego przykładów jest *Preludium deszczowe*) oraz do *Nocnych rozważań staro- majstra* (1975) — poematu podsumowującego życie jednego z przedstawicieli i typowych wyrazi- cieli naszego czasu — robotnika, przebiegającego w myślach swoje pełne wysiłku i oddania sprawie rewolucji życie.

Penetrowanie zawilóści historii, co uwydatniło się w twórczości lat trzydziestych poety, trwało do końca jego pracowitego życia. Mykoła Bażan ujawnił w swoich wierszach i poematach nie tylko myśl, że poezja jest lustrem czasu i doradczynią życia, ale także i to, że słowo powinno służyć wyrażaniu własnego niepowtarzalnego widzenia świata i sposobom jego przeobrażania. Tak rozu- miane funkcje poetyckiego słowa można dostrzec w liryce lat trzydziestych i w poemacie *Liczba* (1931), gdzie Bażan postulował jedność pracy i myśli, namiętności i rozważnego planowania, „liczby uznanej przez każdego”.

W czasie wojny Mykoła Bażan — obok licznych obowiązków społecznych i dziennikarskich (a peł- nił odpowiedzialną funkcję zastępcy Przewodni- czącego Rady Ministrów USRR, współredagował gazety frontowe) — „do bagnetu przyrównywał pióro”, co znalazło swój wyraz w tomach *Przy- sięga* (1941) czy *Stalingradzki zeszyt* (1943), gdzie precyzji i rzeźbiarskości formy nie zniekształcała gniewna patetyka.

W latach powojennych Bażan, obok intensywnej pracy politycznej (jako deputowany do Rady Naj- wyższej ZSRR i USRR, członek KC KPU, prze-

wodniczący Związku Pisarzy Ukrainy — od 1953 do 1959, główny redaktor *Ukraińskiej Encyklopedii Radzieckiej*, akademik AN USSR), wiele uwagi poświęcał krytyce i publicystyce literackiej (zbiory *Przyjaźń narodów, przyjaźń literatur*, 1954, *Ludzie, książki, daty*, 1962, *Szlaki ludzi*, 1969). Sporo uwagi poświęcał pracy przekładowej (obok arcydzieła Rustawelego tłumaczył utwory Dawida Guramiszwiliego, Aliszera Nawoi, Aleksandra Puszkina, Włodzimierza Majakowskiego, Rabindranatha Tagore, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Iwaszkiewicza). Powstało też wiele znaczących utworów poświęconych bądź aktualnej tematyce (na przykład walce o pokój — tom *Angielskie impresje*, 1949), bądź też rozważaniom o współczesności w kontekście historycznym (tom *Koło Wieży Spaskiej*, 1952, *Jedność*, 1954).

Nawet w latach, kiedy Bażan musiał ulec naciśkom doraźnych potrzeb, narzucających poezji aktualność tematyki, pewne uproszczenia form wypowiedzi, poeta nie osłabiał muskulatury swoich wierszy. Patetykę, wzniosłość poetyckiej retoryki uzupełniały i dozbrajały sarkazm i ironia, co powodowało, że wiersze Bażana nie poddawały się korozji banału.

Po wojnie wrócił Mykoła Bażan do swoich architektonicznych i rzeźbiarskich kompozycji, aby przy ich pomocy zgłębiać zawilości losów ludzkich wplecionych w kołowrót dziejów. Bo przecież człowiek, jednostka, jej los i odczucia stanowiły główny przedmiot zainteresowań poety. Tak jak w wczesnych poematach Bażan rzucał teraz swoich bohaterów w wir zmagania z siłami chcącymi złamać ich wolę, zniszczyć ich samych i ich dorobek duchowy.

W czym zmienił się styl Bażana w porównaniu z wcześniejszymi okresami, w których futuryzm, ekspresjonizm, współczesniony barok i ironizujący romantyzm w duchu Hoffmanna stopiły się w niepowtarzalny styl samego poety? Futuryzm pozwolił Bażanowi nie ulec tradycyjnej śpiewności i sentymentalności ukraińskiej poezji, ekspresjonizm uwypuklił jego intelektualny i rozumowy aspekt, a „chciwy barok” uzmysłowił poecie urok tworzywa, bogactwo faktury słowa, traktowanego zresztą w kategorii bryły, gładzi, kamienia, marmuru czy granitu. To nie tylko „rzeźbiony cień”, lecz także cyzelowane słowa wiersza *Krew w jaskyr wziętych*, gdzie czytamy:

I znów jak ciężki dym kochamy ciężar słów,  
dym strasznych watr, tatarską groźnych klęską,  
znów miłujemy krew, tego zwarzoną, ciężką...

(Przeł. T. Hollender)

Ową tęgość materiału, bryłowatość, ciężar będzie poeta uświadamiał ustawicznie, czego dowodem choćby „wrząca magma kamieni”, „biały ogień marmuru”, „ryk dzikiego kamienia” z wiersza *Przed posągami Michała Anioła* czy choćby nawet tytuł ostatniego zbioru wierszy *Karby* (1978), uhonorowanego Nagrodą Leninowską.

W ostatnim okresie do swoich wierszy Bażan świadomie wprowadzał nurt muzyki. Wspominając genezę mikro-poematów zawartych w tomie *Wspomnienia z Humania* Bażan, stwierdzając plastyczność — malarskość i rzeźbiarskość swojej percepcji świata, zauważa: „*Preludium deszczowe* jest już czymś całkiem innym, bo muzyki uczyłem się świadomie i uparcie, nie bez wysiłku woli”.

W cyklu *Nocne koncerty* muzyka współżyje już z plastycznością jako sfera wyrażania koncepcji historiozoficznych czy estetycznych, jako antidotum na niebezpieczeństwo racjonalizmu poezji Bażana, skłonnego zawsze do poezji intelektualnej, powściągającej żywioł uczuć.

Dzięki powyższym cechom, pozwalającym poecie czujnie wsłuchiwać się w rytmy czasu i bacznie wpatrywać się w jego kształt i rysy, Bażan jest w swoich utworach w gruncie rzeczy optymistą. Optymistyczny sens takich tomów, jak *Spotkania włoskie* (1962) czy poemat *Lot przez burzę* (1965) lub też *Cztery opowiadania o nadziei* (1967) polega na przekonaniu, że bohaterstwo i poświęcenie (w językach wschodniosłowiańskich istnieje termin łączący te dwie cechy — „podwyh”, „podwih”, „podzwih”) służące ludziom, narodowi, ojczyźnie ocala bohatera od śmierci, staje się tym „szczęblem do sławy grodu”, który ich unieśmiertelnia.

W świetle takiej właśnie koncepcji filozoficznej rozpatrzy Mykoła Bażan życie i dzieło Adama Mickiewicza w cyklu *Mickiewicz w Odessie* (1957). „Pomysł dania nam — stwierdził w przedmowie do polskiego wydania Jarosław Iwaszkiewicz — młodzieńczej postaci Mickiewicza, nakreślenie jego sylwetki na tle odeskich zmagañ jego jest bardzo interesujący. Wykonanie znakomite”.

W cyklu tym Bażan uniknął dydaktyzmu i szermowania frazesami, kiedy odślaniał namiętności miotające polskim poetą i jego myśli współbrzmiające z naszą epoką. Ukraiński poeta podprowadza czytelnika do zrozumienia humanitaryzmu dzieła polskiego poety, jego dążeń do rewolucji, jego usiłowań, aby zrozumieć Rosjan. Bażan podprowadza także do zrozumienia istoty przyjaźni Mic-

kiewicza z dekabrystami, ujawnia tajne porywy młodego poety dostrzegającego w dali morskiej „i drogę do sławy, i drogę do poznania ludzkich pragnień, marzeń”.

Rozłamujący się jakby na dwie części cykl rekonstruuje atmosferę epoki, odeski koloryt lokalny i uwypukla obraz tamtych lat. Bażan nakreślił wymowne portrety poetów wolności i przyjaciół Mickiewicza — Rylejewa i Bestużewa — oraz naszkicował postacie snobów i bywalców salonów literackich oraz balowiczów m.in. na balu u hrabiny Sobańskiej.

Druga część cyklu odsłania portret samego Mickiewicza, przede wszystkim wyrazisty portret wewnętrzny, kiedy to zamyślony poeta, z napięciem oczekujący życiowej burzy, rozmyśla w wierszu *Nad morzem*. Bażan tak opisuje poetę, któremu obce były „jęki miłosne tajemnych harémów”:

...to złe Erynie, a nie śpiewne Muzy  
Miotaly tobą tu, w samotności głuchej,  
Sam na sam z topielą z jej niesforną mową,  
Nad czarną przepaścią, nad groźną kipiela,  
Kiedy byłeś takim, jak byłeś — surowym  
Sługą i zwiastunem doniosłego celu.

Ostatni wiersz cyklu mówiący o „serc najwyższym pojednaniu” dwóch twórców — Mickiewicza i Puszkina — symbolizuje przyjaźń i jedność narodów słowiańskich. Tych twórców „wspólny ślad” odcisnął się również na poezji Mykoły Bażana. Świadczy o tym nie tylko powyższy cykl, lecz również polskie reminiscencje we *Wspomnieniach z Humania*, częste odwołania do muzyki Szo-



pena, echa polskich lektur, no i oczywiście znacząca praca tłumacza, którego przekłady z Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Iwaszkiewicza są świadectwem wysokiego kunsztu translatorskiego tego wielce utalentowanego popularyzatora i nieobojętnego przyjaciela polskiej literatury.

Spośród wielu polskich fascynacji Bażana chciałoby się zwrócić uwagę na jego wkład w popularyzację Norwida na Ukrainie, kiedy to w 1971 roku ukazał się obszerny tom tego poety, którego twórczość szczególnie przypadła do smaku Bażanowi. Ukraiński poeta przełożył wiele wierszy autora *Promethidiona*, a w ciekawym, oryginalnym studium *Nędza, godność i wielkość poety* ukraiński admirator Norwida pisał: „Myśl! Dla poezji Norwida jest pierwszym i decydującym bodźcem. Wszystko tej poezji można zarzucić — jej sprzeczności, zaciemnienie, filozoficzną oschłość, ale nie można jej zarzucić bawienia się słowem, płyciutkiej i pozbawionej woli czułościowości. Poezja Norwida zrywała z tradycją quasi-liryczności, z pychą pseudoludowości”.

Jakże te słowa pasują do poezji Mykoły Bażana lubującego się w słowie ważkim, wyrazistym, ciężkim, ale znaczącym i tkwiącym w wierszu jak wyciosana w płaskorzeźbie bryła stanowiąca nieodłączną część całości, w słowie brzemienne w ważką myśl, dobitnie wyrażoną!

Chciałoby się tu przytoczyć pochlebne wypowiedzi starego majstra ukraińskiej poezji o innych naszych twórcach rzucane przez niego w czasie moich rozmów z Mykołą Płatonowyczem, mądrym, dowcipnym, ironizującym nad światem i sobą „didem”, lubianym i szanowanym przez jego młodszych kontynuatorów mistrzem słowa, dorad-

cą, animatorem życia kulturalnego współczesnej Ukrainy. Pamiętam, z jaką dumą mówił o ukończeniu siedmiotomowej monumentalnej edycji *Historia Sztuki Ukraińskiej*, o siedemnastotomowej *Ukraińskiej Encyklopedii Radzieckiej*, o różnych inicjatywach wydawniczych wzbogacających jego ojczystą kulturę.

Z ogromnym szacunkiem wypowiadał się o poezji Władysława Broniewskiego i wiele ciepłych słów poświęcił Jarosławowi Iwaszkiewiczowi i Wandzie Wasilewskiej, Jerzemu Jędrzejewiczowi i Anatolowi Sternowi, sporo wysiłku włożył w redagowanie dwutomowej *Antologii poezji polskiej* (1980), wnikliwie czytał polską prasę literacką, która towarzyszyła mu w peregrynacjach szpitalnych, stale wertował tomiki poetyckie współczesnych polskich poetów, mając nadzieję, że przełoży coś jeszcze, dokładając do swego sporego dorobku translatorskiego naszej poezji.

Świadomość polskiego kontekstu towarzyszyła poecie stale w jego poezji, w jego eseistyce literackiej, w jego pracy naukowej przysparzającej nie byle jakiego splendoru ukraińskiej kulturze, której w ostatnich latach serdecznie i pracowicie patronował jako poeta-uczony, nieobojętny zwolennik wszystkiego co nowe, odkrywcze, świeże w literaturze własnego narodu i narodów pobratymczych.

Odszedł na zawsze 23 listopada 1983 roku jako twórca uosabiający renesans ukraińskiej literatury w latach dwudziestych, patron i mecenas młodych talentów w ostatnim dwudziestoleciu (nieobojętnie śledził rozwój twórczości takich poetów jak Lina Kostenko czy Iwan Dracz i pomagał im radą, wspierał i chronił), inicjator wielu ważnych przed-

sięwieć kulturalnych na Ukrainie i w ZSRR, człowiek wielkiego umysłu i mądrego serca, poeta-internacjonalista, wobec którego my, Polacy, mamy nie byle jaki dług do spłacenia. Niech ten tom wierszy będzie częścią tego długu.

*Florian Nieuważny*

## **WIERSZE**



## PAPROĆ

Jak stare sny ta biała piana chmur  
I księżyc białooki jak karp stary.  
I widzę dziś: pogańskiej nocy czary  
W nieznanym drzeniu biorą czarny bór.

Północą z ofiar bije dymu sznur.  
Na zgrzebnym płótnie niesie hojne dary —  
Sery soczyste, miodów ciężkich czary —  
Swym niemym bogom ofiarników chór.

Pogańska noc ukryty budzi cud.  
Dzierzgana mgła z jeziornych wstaje wód.  
Zapach paproci budzi się trujący.

I korowodem płynie w rosy chłód  
Na majdan z sioła młodociany lud.  
Słowiańskich zielnych pól niezapomniane płąsy.

## LUBCZYK

Spod rzęs — błękitny cień, oznaka to niezmienna,  
Różowy ślad na piersi tu i tam się skrywa,  
A on już wsunął swoją stopę do strzemienia  
I dziarski jego koń już wstrząsa bujną grzywą.

Została sama znów, kochanka bezimienna,  
Wciąż patrząc na tę drogę, gdzie osiadł pył siwy.  
A kiedyś wieczorem, gdy praca całodzienna  
Skończy się już, maleństwo urodzi, szczęśliwa.

Niedługo będzie w domu niemowlętko kwilić,  
A w sadzie hen, na świeżo wrytej mogile  
Wzездzie ruta i lubczyk będzie oczy pieścił.

Ona się będzie we dnie nad zagonem schylać,  
A w nocy — szlochać, łkać, nie wiedząc ani chwili,  
Od kogo dniem lub nocą przyjdą tajne wieści.

## NOC ŻELEŹNIAKOWA

Od ich postaci równe bieżą cienie,  
Kiedy szeregiem schodzą w głąb wąwozu.  
Zaskrzypią koła kolejnego wozu  
I miękki muł pochłonie to skrzypienie.

Krzyki się rwą jak strumień z oków mrozu —  
O sąd, o jaśniepaństwa wytępienie.  
Tu, w Chłodnym Jarze, nocne zgromadzenie  
Mają chłop, Kozak i zbieg z wojsk obozu.

Zahuczał trwożnie i ścichł naród w boru,  
Kozak, chłop, czerniec, pacholek ze dworu  
Słyszą, jak wieszczy, trzeci kur im krzyczy.

Ze snu ocknęły się cerkiewne dzwony ..  
I w mroczny step od ognisk na wsze strony  
Rozpierzchnął się cieni wieniec buntowniczy.

1927

*Jerzy Litwiński*



## KREW W JASYR WZIĘTYCH

Koń kosmaty kopytem rwie spletaną wołę,  
Na dnie drażonych konwi mętny ferment znaczy  
Pianą scukrzzone mleko rozpalonych klaczy  
I wonie dyszą gęste dzikością i solą.  
Wojactwo martwym snem pospołu się pospało  
I nieruchome zwarło się na twardej ziemi,  
Stłoczone pod wojłoków płątami buremi  
Jak jedno lwa płowego muskularne ciało.

Do dołu się skłaniają krzewy pełne liściem  
I dym jak prosta struna stropu nieba sięga,  
Szarpiąc rzadkich obłoków stargane siermięgi,  
A piersi kobiet drgają niby kwiatów kiście.  
Dobłą wilgocią zlane, potem płodonośnym  
Zroszone leżą ciała ukraińskich branek.  
Usta jak krwawe rany. A gdy przyjdzie ranek  
W ich łonach jadowity płód mongolski wszędzie.

Przeminą całe lata, odwieczne otawy,  
W sajdakach dawnych stleją serc i pragnień strzały,  
Ale krew mocna, w długich stuleciach zastała,  
W sękatych guzłach mięśni te sprawy przechowa.  
I pokochamy słowa ciężkie jak dym ostry  
24     Watr złowieszczych, co niegdyś tlały dla Tatarów,

Słowa, co wstaną z dawnych warów i oparów,  
Jak tamten step szeroki — królestwo bezmiarów —  
Które przyjmujemy sercem okrągłym i prostym.

**1927**

*Jarostaw Iwaszkiewicz*

## SŁOWO O PUŁKU

Spienione konie, tęgie konie  
Rwały zaprzęgi, pręgi szlej,  
Z wysiłkiem wlokły tępe bronie,  
Baterię armat. A w ślad niej,  
W ślad wojsk, co mogły ująć pogoni,  
Sklejał się mroku mglisty lej.  
Krok ludzi, koni we mgle mdłej  
Toczył się w zwartym eskadronie.  
Żołnierz pomyślał sobie: „Ej,  
Czy nie obrócić jeszcze koni  
W ataku

— na bezdennym łonie,  
W mgłach galicyjskiej nocy tej”.  
Był to czas klęski. W ariergardzie  
Schylona śmierć, podając dłoń  
Tu ległym rannym; niosła zgon  
Tym, co na warcie, marnej warcie,  
Szlaku znaczącym się na karcie  
Wiecznych podchodów, wrogich stron.  
Zdeptały pułki martwy plon,  
Sołdackie oczy gasły martwe,  
Jak pień, co z orbit rwany, padł,  
Żeby się tęsknie wpatrzeć w ślad  
Konnicy kolumn,

pułków zwartych,  
Na które z wschodu cień się kładł.  
I patrząc, jak z otchłani lat,  
Jak w strunę, w cienki szlak ze wschodu.  
Znów tupot kopyt grzmiał jak grad  
I warkot znów głodnego grzmiał pochodu,  
Ze Zbrucza znów hełm szumiał braną wodą,  
Zmywając z twarzy

krwi,

potu ślad.

Mijały setki lat, znów przyszły wnuki teraz  
Na pola te, gdzie marł dostojnie dziad,  
I każdy w ręce brał pobożnie żółty czerep,  
I oczodoły zwracał wnuk na wschód,  
A oko jak sam żar przeogromnego wschodu  
Gorzało w czaszce, aż blask bił,  
Bo każdy z nich żołnierzem przednim był,  
Bo z straży przednich był ogromnych armii Wschodu.  
...O, żółte czaszki — czas was niby słupy wbił  
Na skrzyżowaniu dróg i sił...

O, znaki dawnych marszrut ważkich —  
O, żółte rzędy głów, wpatrzone wciąż we Wschód.  
Wzdłuż martwej, zapomnianej czaszki  
W radosny marsz wyrusza znowu lud.

O, żółtych czaszek rząd, patrzący wciąż na Wschód!

**KATEDRA**

W cieniu pagórków, światu kwitnąc, przytajona,  
Kolumna dźwięczy jakby obój brzmiał.

Kamienne D i e s i r a e jest w katedry tonach,  
Jak oratorium głodnych rąk i ciał.

Płomieniem rośnie świątobliwy gotyk,

Jak watra wiary,

jak pradawna wieść,

Bluźnierczo pod niebiosa zdołały się wznieść

Strzeliste wieże —

palców ostrych dotyk.

Obejmij ręką chłodne żyły dzieła

I pozwól swojej niemej dłoni,

By w górę własne serce podźwignęła

Na spisach rymów wyostrzonych,

By w oczy skąpe ciemnych wież zajrzało,

Zatrzepotało suchym dźwiękiem

i mógł przylec

Do niego wież palczastych cień jak rylec,

Którego rysów zmasać by się już nie dało.

Ni to splecione srogie więzy, ni to

Prawidła słów na sercu legną ciężkie.

Żelazem,  
                    ogniem,  
                                    olejami,  
  krwią spowito  
Złowieszczą powieść o katedrze,  
Jak ciżb w ud ręce postrąconych w głąb  
W zgrzytaniu zębów  
                                    i zgrzycie kamieni,  
Jak śpiew śmiertelny,  
  zew złowieszczych trąb,  
Ażeby zagrzmieć wśród płomieni,  
Katedra wzniosła się dla chwały feodała,  
Jaskinia wiary,  
                                    rój odpustów —  
I na padoły placów pustych  
Dźwięki jej dzwonów z wolna pospadały,  
Ni to spiżowy krok,  
  spiżowy krok ofiary.  
W wyschłych dłoniach wyznawców katolickiej wiary  
Tak chrobocą różańce z wonnego sandału.

Beztrosko nie szli,  
                                    gdy wzywały dzwony,  
Króle, książęta, słudzy i trefnisie psotni;  
Rozwarła się katedra,  
  ni to stygmat słodki,  
Bezwolnej ziemi opuszczonej.  
Padały

                    i wspinały się aż pod sklepienia

Ciała bez rąk i ręce od ciała odjęte;  
Usta na wpół rozwarte grymasem cierpienia  
W stoki kamiennych ścian wzerały się lamentem.  
I leciała jak wąż strzała pod obłoki,  
Jak rąk wyziębłych stożkowy snop,  
Natchniona nawa katedry pod strop  
Pogrążona we śnie fanatycznym i głębokim.

W pochmurnej zawierusze lata szły bez przerwy,  
Ale nie gasły; by znów rozsiać błyski  
Mnóstwem zaciekłych płomieni gotyckich  
Na wyszczerbionych mieczach i kosach Żakerii,  
Bo wzniosła się katedra — łączwy gębiciel  
Na stosach błagań i stosach anatem,  
Gotycka koniczyna rozkwitła trójliściem  
Jak krzyż, jak sen, jak psalmy, symbolicznym kwiatem.

*Jerzy Zagórski*





Na kiści — kwiat,  
   na kiści kwiat jak oko  
 Rozpalonego samca przez samicę  
 Jeszcze z tych epok,  
   kiedy serca bicie  
 Przyspieszała namiętność chciwego baroku,  
 Płynąca z wieków starego labiryntu,  
 Łącząc z oddali w niepodzielną całość  
 Bram ukraińskich rozkwieconą gałąź  
 Z wilgotnym akantem Koryntu.  
 Lecz akant ten — nie laur,  
   co monarchów mam  
 I nigdy nie skrzypaneły w tej bramie zawiasy,  
 By przepuścić jeńców pochwyconych w jasyr,  
 Bo szlak zwycięstwa omijał tę bramę.  
 To brama pragnień niewolnych, zaszczutych  
 Starych stuleci.  
   Wtedy wznosił w szkarłatny odziane  
 Dzwonnice swoje w złocie kute,  
 Niby wspaniałe buńczuki,  
   pychą nadęty hetmanat.  
 Wtedy niby koronę odświętną  
 Na tłuste włosy stepu  
 Włożył swe cerkwie Mazepa,  
   kupiec zawzięty,  
   hetman,  
 Poeta.

Wtedy, przegrawszy grę va banque, niezwyczajną,  
Nauczył się uciekać, drogę w przód poplątał  
Mazepy biały koń, ów Pegaz bez stajni,  
Bucefał bez ogona  
  przyszłych hetmaniałek.  
Przepędzić tego konia,  
  by tupot jego ścichł!  
Jak rdzą przeżarte dzidy  
  łamcie dzwonnice cienie!  
I milkną dzwony,  
  dzwony spod sklepienia,  
Bo serce nasze jest większe niż ich!

*Florian Nieuważny*

## **BUDYNEK**

Jak tęczy w hucie wykuty łuk  
Przejął się wiadukt nad domem.  
Wciąż tłumnie krąży dokoła huk,  
Wali w słupy kułakiem gromu.  
Dudniące słupy. Pale ruszowań.  
Dźwigary zgięte. Lewary złamane.  
Kipi ogromna budowa  
Gorącym buntem wulkanu.

Wgryza się w step zaciekła praca,  
Trąba powietrzna stojąca dęba.  
Równiną trzęsie, w górach się kłębi,  
Jak kartki słoje ziemi wywraca.

Stąd

Wysokie napięcie —

Prąd.

To tu

Rozkwita trud.

Krawędź

na krawędzi.

I ką

pada na ką;

A echo wielogłosowe

Krąży

wokół budowy.

Warczą potężne hałasy,  
Przetaczają się w tańcu.  
Pohukuje basem  
Ogromnych siłowni łańcuch.  
Gdzieś na silnikach, spod szczotek,  
Pośród bajorek oleju  
Prąd peźnie, a potem  
Stalową struzkę leje  
Światło do szklanek lamp.  
Rozwija swoją spiralę  
Od tam  
Do pali.  
Od pali  
Do tam,  
Spiesząc dalej,  
Gdzie chaos stosów i chaos jam,  
Gdzie ryża rdza i piach.  
Gdzie na twardy, uparty gwint  
Nakręcają się światła wind,  
Gdzie wzbiera piętrami gmach.

Zbiorniki elektrycznej burzy  
W drutach się przetoczyły.  
I kabel nie wytrzymał dłużej,  
Pękł, jak pękają żyły.  
Dźwięki orkanu wszędzie.  
Rozwścieczona nawała.

Teraz wirować będzie

Centryfuga wspaniała.  
Pędzi, gna maszyna  
Za echem pogonią,  
Po torach, gwarnych szynach  
Jak wagoniki goni.  
Drażą step, skalny masyw  
I w mgnieniu oka  
Wznoszą lufy kominów, kraterów nasyp,  
Ścian masywne bloki.  
Rąbią romby brył,  
Gromadzą wzgórze betonu,  
Metalu zjadliwy pył  
Pachnie ozonem.  
Toczą się ciężkie akordy sił  
Ciał muskularnych, ramion szerokich  
Z żelaznej klawiatury.  
Kują żelazo, zgrzyt zginanej miedzi  
W potężnych rękach człowieka  
Znad ziemi w górę  
Huczac płynie pod obłoki  
Nad starą ziemią  
Jak marsz niebываłych wieków  
Budowy szlachetna muzyka.  
I jęczy step,  
                  dygoce kraina,  
Spieniona stalowa turbina  
Odwiecznych elektrowni.  
I rusza dzień na warstw wiekowych szaniec,  
Następny dzień już czeka na swą kolej,

Bo każdy dzień — jak wybuch i jak szturm,  
Szalony marsz energii, napięć, woli,  
Salut,  
    i głosy surm,  
            i atak,  
                    i wezwanie.

1928

*Adam Galis*

## NOCNY REJS

*Jurijowi Janowskiemu*

Unosi się ręka od niechcenia,  
Pióro nadszczerbione gnie się niby szpada  
I złamany w brulionowych pokreśleniach  
Jak maszt wyniosły, wiersz zniecka pada.  
Lecz oto nagle nadął żagle strof wezbranych,  
Skrzypiąc linami drucianych liter,  
Wicher  
Katastrof wyszukanych.

Podróże, natchnienia — szukasz ich boleśnie;  
Któż zna większe wśród upojeń świata?  
Niech stanie dęba patetyczna fregata,  
Fregata twoich patetycznych pieśni.  
Wstrząsana sztormem tej nocy wzburzonej,  
W chwili, gdy jej cały ocean zagraża,  
Wie dobrze, że były jej sądzone,  
Że jej właśnie były przeznaczone  
Zuchwałę wędrówki marynarza.

Równy się wije  
Po morzach ślad:  
Żeglarskie linie,  
Szramy od szpad.

Pada z pirackiej, czarnej fregaty  
Cień — nienawistny, zły i skrzydlaty.

Przez móż obłudnych przepływa nurty,  
Ponuro pędzi wzdłuż ciemnej burty  
Rozległy wicher żołnierzy  
I ludzi śmiałych wiatr,  
Krzyczący jak albatros wśród lin.

Pręży się łukiem arbaletu —  
Prosty jak cios sztyletu,  
Jest surowy, mroczny, chropawy —  
Na nożu korsarza plamy rdzawe.

Więc rąb łańcuchy,  
Zerwij się z lin.  
Nie w kałamarzu znajdziesz burz podmuchy.  
Wysoką gwiazdą przyświeca ci czyn —  
I gdy rozlegnie się śmiertelny alarm,  
Twój kompas —  
Twe serce  
Wskaże ci drogę na spienionych falach.

1928

*Józef Czechowicz (strofa 3,4)  
Anatol Stern (strofa 1,2,5)*



## ROZMOWA SERC

### I

Deszcz jak gorączka dreszczem przeszył.

Noc głucha, czarna noc jesieni.

W kwadratach placów niemych spieszy

Człowiek ze swym pokracznym cieniem.

Tak idą obaj. Oddychają,

Wyznając wiarę z przekonań głęboką,

Iż oto arkusz własnych podłóg mają,

Gdzie stawiać wolno

suche kropki kroków

I nad „i” własnym

można kropką władać,

Wymierzać sobie wyrok i ogłaszać,

W brudne koperty

brudnych mieszkań wkładać,

Skrętnie ukrywszy dowód świadectw naszych.

Ot, w wyświechtanej, pomiętej kopercie

Schowane słowa drobnych trwóg i mąk,

Pani Wieczności i Imć Pani Śmierci

Adresowane do ich własnych rąk.

Leżą zapiski błahe,

życia skromne cedułki.

W przeciwne strony pobiegły zaułki  
Jak rządki liter na przedśmiertnym liście.  
Ja także idę.

Dochodzę do domu:  
Chreszczatyk Nr 50. W bramie ciemno.  
Staję w drzwiach. Jakaś postać nieznamoma  
Wchodzi w nie również  
i zostaje ze mną.

Schody stęchlizną i moczem cuchnące,  
Strzęp mgły, co gnije w kącie złachmaniona.  
A ja na wątych unoszę ramionach  
Swą ciężką głowę jak lampę czadzącą  
I niosę serca kawałek wyssany,  
I ciało swoje dźwigam umęczone —  
I zda się dom mój obłąkanych domem,  
W czerń katafalku zwierają się ściany.  
Milcząc, bez śladu najmniejszego ruchu  
Na jego szczycie ciemna trumna stoi,  
I cisza blaskiem ostrym niepokoi,  
Snując się strużką cienką koło ucha.  
Zamknięte drzwi są.

Spuszczone firanki.  
Wtłoczony w skrzynię świat żebraczych wierzeń  
Jest uwiązany na sznurku pęcherzem  
Dziwnego światła wlanego do szklanki.

Na schodach oddech astmatyczny słyszę.  
Przed chwilą zatem ktoś musiał wejść na nie.

Szmer — otarł pewnie o ścianę ubranie,  
Szurnięcie butów naruszyło ciszę.  
Zapewne jakiś podpity włóczęga,  
Gdyż dla odwiedzin nieco późna pora!  
Raptem

                    wilgotny kąć ożył — przysięgam —  
Wyszła zeń ciemna ni postać, ni zmora.  
Przez obrys ciała, co się był rozplýwał  
Zdążając ku mnie, wyraźnie widziałem  
Na wskroś — poręcz schodów przerdzewiała  
I okno, w którym księżyc połyskiwał.

## II

Wsparty na lasce stoi dziwny gość,  
Na nim galowy mundur podniszczony...  
— Cóż to sprowadza do mnie Waszą Mość,  
W nie uprzątnięte progi me, w te strony?... —  
Popęzły w górę brwi pijawki dwie,  
Mięsa ochłapy dwa zamamrotały,  
Zdało się — gość mój grymas ust nieśmiały  
Wraz z wymuszonym pozdrowieniem śle.  
I nie był sen to chimeryczny,  
Objaw wariacji mej, o nie!  
Więc jaki wir halucynacji  
Wyschłe komórki mózgu rwie?  
Spytałem:

                    — Ktoś ty, bladolicy,  
42      Ze się mój spokój zburzyć ośmieliłeś?

Czyś to nie ty mi przemknął na ulicy?

Czemu powstałeś,

co cię obudziło?

— Noc sucha sen z mych oczu pije.

Krok pętla ulic uwiązała.

Za jakie grzechy,

grzechy czyje

Opatrzność serca strzęp mi dała? —

Strzępiasty oddech — wstyd wyznawać —

W plwocinach śliny czas wymierzył.

I serca strzęp jak kiszka krwawa

W oberży skwierczy na talerzu.

Rosyjska karczmo,

karczmo nieobjęta,

Gdzie przeżuwiają serce me gorące!

Zsiniały całun serca mięsień spętał.

A serc mojemu podobnych — tysiące.

Krzyczące serce swoje każdy ukrzyżował

Na stolikach karczemnych,

na krzyżach przydrożnych.

I nikt też ukryć nie śmiał,

w zanadrze nie schował

Wielkiej czci — a przedmiotem czci tej

wrząd przemożny.

Wrząd wieków, wrząd stuleci,

Zaiste, wrząd błogosławiony

Rozkwitł pod naszym nieboskłonem

I pięciokątnym znakiem świeci...

— Łiesz, cieniu, łgarstw i kłamstw niesyty,

Zgnilizną słowo tve znaczone!  
Dzień nasz, co wspiął się dziś na szczyty  
Nie na twych oparł się ramionach.  
Twych wrzodów smród — zgnuśniały herb  
Kazał nam zerwać głos rozumu.  
Karczma — obłudna przystań serc  
Padła pod samosądem tłumu.  
I poszedł tłum mój, przeszedł tłum  
Nie brukiem ulic, lecz serc brukiem  
I w proch, i pył pod wichru szum  
Runęła wniwecz karczma z hukiem.  
Na próżno Waszmość chciał ocalić  
Herb swój dla potomności wieków.  
Garb niejednemuśmy złamali,  
By nie przerastał górskich grzbietów.  
Przegrałeś, zgasła twa pochodnia,  
Więc serce dawaj! Nie rźnij bohatera!  
My zwykliśmy szeregi zwierać,  
A bohaterów swych liczymy co dnia!  
Zaś serce — zakrwawiony bandaż —  
Zsiekanie w bojach, już się nie ubrudzi.  
Niesiemy je jak sławny sztandar —  
Znak przywróconych życiu ludzi,  
Znak wichru, burz, znamiennych dat,  
Ognia i miecza dumny ślad...

### III

W werble z rozpiętych ludzkich skór!  
W człowieczych sercach ran za mało,  
Za to żalonych pełno dziur.  
Nie wicher — zwykły przeciąg wyje  
W piersiach człowieka. Świszcze. Dmie.  
Z ludzkiego ścierwa nikt nie zmyje  
Piętna, co naznaczyło je...  
— Zrywam tve piętno i przeklinam!...  
— Nie rwij, albowiem ja — to ty,  
Zaś ty — to ja. Jak jedna wina  
Będziemy zawsze razem szli.  
Gdziekolwiek jestem, tam cień mój się jawi,  
Zielonym sztofem biegnie za mną w ślad  
Stolika cień — któż odeń mnie wybawi?  
Z wszystkimi stół karciany za pan brat!  
Idąc w wir szaleństw, głupstw, gdzie uczta zdrożna,  
Niosę w kieszeni pełną talię kart  
I serce swoje niosę.

Niezły żart —

Do samobójstwa przyrównać go można!  
I w ziemskich karczmach w grę szaleńczą gram,  
Pijany bankier — zgrywam wielką fetę.  
Wyboru świadom trzech partnerów mam,  
A więc: mordercę, kurwę i poetę.  
Va banque! — wychodzę z ręki, czuję moc,  
Niewolnik zielonego jam stolika.  
Po kątach knajpy rozpełza się noc  
Jak czarna krew w sercu alkoholika.

I miedziak w dłoni ma kształt krwawej rany.  
Nad stołem wszyscy pochyleni jak  
Stado zgłodniałych sępów zastygamy.  
Dziwka do puli wnosząc podarunek —  
Nader wątpliwej wytworności czar,  
Jak pierścień z palca, tak zerwany z warg  
Smrodliwy rzuca pocałunek.  
Blady poeta usiadł między nami  
Na skraju stołu... Gdy stawkę podwoją  
Spłaci natychmiast całą dolę swoją  
Taniami i fałszywymi słowami.  
W wysmukłych palcach serce ściskam swe.  
Jam najbogatszy (choć to miraż złudny...)  
O, serce,

                  biedne serce,

                                  nie martw się,

Kiedy na szafot stołów w knajpach brudnych  
Składam cię nocą jak ofiarę  
Pośród hałastry ludzkiej, lecz mnie wzywa  
Tajemna siła — trudno trzymać miarę —  
Gram... i przegrywam swą partię...

                                  Przegrywam...

Zostawiam serce na stole — niech leży,  
W rozkładającej niech nurza się plazmie.  
I wszystek wicher, ziemski oddech bieży  
Niczym w natchnienia nadludzkiego spazmie  
Za gardło ściska, kluciem pierś przesywa.  
Noc zgasła,

                                  nad drogą słońce połyskiwa...

I dokąd iść mi teraz? Skąd mam wiedzieć,  
Gdy pustka w piersi serca pozbawionej.  
O, biedne serce — tyś jak mysz spłoszone —  
Nie zrzucisz pęt twych i poddasz się biedzie...  
Iść dokąd? Wiedzieć nie muszę!

Znam przecież

Karczmy, oberże,

cerkiewki, ikony,

Wiejskie cmentarze i trochę miejsc świętych.  
Wszędzie, gdzie bywałem, włócząc się po świecie,  
Niewielem widział prócz biesiad fałszywych,  
serc poszczerbionych

I kolan ugiętych.

Przecieżem szukałem (więc próżne me żale?)  
Słów, kobiet, wspomnień o życiu — tak było...  
Tylko jednego nie mogłem odnaleźć,  
Serca, co się onegdaj zagubiło.  
W karczemnych bójkach, zgiełku, wrzawach,  
Wśród nocnej ciszy wszczętych drakach  
Nie był mojego serca kawał  
Jak wyciągnięta dłoń żebraka.  
Błogosławiony opar mgły,  
Wilgotny zaciek ścian omszałych!  
Tam troski niczym omam zły  
Jak topielice odpływały.  
Ale w pogodne ranki z słońca feerią,  
W chwilach skupienia, błogiej samotności  
Wstrząsałaś ciałem po wnętrzości  
Podlej gorączki maszynerio.



I sercu podawałaś znak! Ty!...  
Wściekle, rozdęte w bezczelności  
Maszerowały po mnie w złości  
Przeklęte rytmu twego takty.  
Jak cię pokonać, gdzie i kiedy,  
Jaką ku temu obrać drogę?  
Me serce znów mi daje kredyt,  
Wzywa — odmówić mu nie mogę...

#### IV

Gość zamilkł. Tylko wargi poblądłe drzeć jęły  
I okiennice źrenic wnet się odemknęły,  
Rozwarł je tkwiący w oczach ni chochlik, ni człowiek  
Wsparty na parapetach dwu przekrwionych powiek.  
I niczym order, co pierś chudą blaskiem opromienia,  
Wdarło się lampy światło do królestwa cienia.  
W źrenice widma spojrzę... Potem, choćby boso  
Pójdę prosto przed siebie, gdzie oczy poniosą.  
Godziny nikną, cisza nieśpiesznie zalega,  
Szukając legowiska stopnie schodów liże.  
— Czy cień twój, zjawo, zdjęto  
wprost z krzyża świętego?  
A zresztą, cóż nam cienie,  
zresztą, cóż nam krzyże!  
Twój dwulicowy bóg, ten policmajster dusz,  
Obłudny Rasputina bóg i bóg Maluty  
Już nie zawładnie mną  
i nie przekupi już

I w chramy swe nie zwiedzie do pokuty.  
Nie dla mnie twe świątynie —  
burdel i karczmy gwar,  
Konfesjonalem nie jest  
zrzygana lepka ława.  
Akafist\* nienawiścią me serce dziś napawa,  
Dość mam jęśliwych modlitw  
twoich lokajskich wiar.  
Trzymaj swe serce, trzymaj i chroń je przed obawą  
Chciwymi w bezsilności swej rękami,  
Albo jak worek trzewi zdepcz nogami  
Odrażającą postać twoją, zjawo!  
Plugawych słów twych bezwolna inercja  
Odsuwa serca ludzkie na bok i przekreśla.  
My zaś wlotowujemy w żebra nowe serca —  
Podobnie gwóźdź w koźlinę wbija sprawny cieśla.  
Twierdzisz: „Tyś mój jest!”. Ja cenię zabawę —  
Gotówem serce swe psom rzucić wściekłym.  
Jeśliby w żyłach mych twe krwinki ciekły,  
Krwii takiej chętnie z żył utoczę nawet.  
Wiem — żyjesz, ciągle żyjesz,  
nie zdychasz wbrew pozorom.

Więc krzyczę:

Ile jeszcze kulawe ludzkie serce  
Będzie lękliwie chromać? Już niedaleka pora,  
Gdy wzniesie się z podłogi i wyrwie poniewierce,  
Z zaplombowanej trumny powstanie ku światłości,

Z oków rozpaczy dzikiej wyzwoli się na wieki,  
Nie będzie gorzkich słów przełykać w samotności,  
Przepastna otchłań zła zostanie snem dalekim.  
Już pianę toczysz z ust, zlewa cię pot paniczny.  
Wszak dla fałszywych bóstw, rodzimych chrystusików  
Skończył się dobry czas... Zamaryły usta w krzyku  
I pętla polnych dróg sznurem jest szubienicznym.  
Mordercy, urzędasy, zboczeni sutenerzy,  
O, słudzy niewolników i niewolnicy slug!  
Synowie samowładztwa, co w gnuśnej chandrze leży,  
Histerii rosyjskiego imperium umarł bóg!  
Padlino czasów, zdychaj w swych norach obrzydliwych!  
Zgnilizno ludzka, konaj!... Przeklinam cię, przeklinam!...  
W požodze ognia, w burzy czas nadszedł sprawiedliwy —  
Dziś inna wokół Rosja i inna Ukraina...  
I czymże dla mnie jest

twój jęk psubrata,

Twój ból?

Wszak to nienawiść je powiła!... —

Wtem zobaczyłem — lampy mdła poświata  
Obok mnie przeszła i w nicość się wbiła.  
Czułem jak wilgoć ze ścian parowała  
I opar mgły zgęszczonym zastygł cieniem,  
I skrzyła na nim iskra światła biała  
W wyschniętych kościach jarząc się promieniem.

Cień jakby nie wierząc w swoją siłę,  
Nie krył odbłasku utajonej męki

Wydatne czoło swoje wznosił jak bryłę,  
Szczęki zacisnął i myśli wysilił,  
Usta zaś słowa żuły nie wypowiedziane...  
Patrz, serce moje —

Czyżby? Niesłychane!

On — nieomylny, także się pomylił!  
Niechaj przepadnie mara dziwnych zdarzeń,  
Niech do drzwi późny gość nie puka nocny...  
Niczym korkociąg w gardło korytarza  
Wwiercił się przeciąg, wdarł się wirem mocnym.  
Cienie w szeregu jednym karnie stają,  
W kącie się wcisnąwszy nikną pod podłogą.  
Minęła chwila — nie widzę nikogo  
I tylko pleśń po ścianie pełza swym zwyczajem  
Jak od lat wielu zwykła była czynić.  
Upiorna chwila przywidzeń zawyłych  
Znikła we włościach pleśni-gospodyni,  
Jak gdyby przedtem nigdy jej nie było.  
I wszystko wokół zwyczajne jak ongiś —  
Przedemną brudna podłoga i ściana,  
Lampa na ścianie... I śpiew wody w kranach  
Żłobiącej żmudnie stare wodociągi.  
I każdy odgłos był jak życia znak.  
Ziemińskiego życia tchnęła siła młoda.  
I serce moje szepnęło mi: „Tak”,  
I zaszeleścił wiatr na schodach...

## HOFFMANNOWSKA NOC

Po wyrąbanych stopniach —  
w czeluść, mrok i brud,  
Po wyrąbanych stopniach,  
ciężkimi schodami,  
Przez pochyłe załomy  
do piwnicznej jamy,  
W przepastny kałdun knajpy, w dym, w zatęchły smród.  
Knajpa bez żadnej nazwy, bez szyldu, znamienia,  
Knajpa wściekłych filistrów, głodnych lumpów, zdzir,  
Knajpa fantastów, których porwał groźny wir  
Alkoholicznych wizji, czarnego natchnienia.  
Knajpa, co się rozdziawia, jakby skisły swój  
Ryj rozwarł pijak, i jak zmurszałe siekacze  
Sterczą w niej świece, z których żółty łój  
Na stół dębowy i na tęgie kufle płacze.  
Kufle ciężkie jak jabłka, płody dobra i zła,  
Jak pięści spoczywają na stołach i spływa  
Na krzepkie blaty wino i łój, i oliwa  
Z ich zionącego kwasem, pękatego szkła.  
Poskrzypują i trzeszczą przysadziste stoły,  
Mozaika plam, okruszyn i petów je pstrzy,  
I skwierczą na nich łoju połyskliwe łyzy,  
Ściekające ze świeczek, stopionych na poły.  
Surowo przestrzegany jest tutaj od lat

Rytuał bib podniosłych, bankietów, pijatyk,  
Bo tutaj każdy pijus to mędrzec, fanatyk  
I brat somnambuliczny. Serafioński brat.

To tutaj Amadeusz przez tysięczne noce  
Pije, wymyśla żarty piekielne, rechoce —  
On, dusza uroczyście obłąkanych styp,  
Król nocnych bib, poeta i przewrotny typ.  
Rozpętujący fantazji złe moce.  
Oto siedzi tu właśnie, jest szatańsko rad,  
Ten birbant, karłowaty Mefistofil.  
Odwrócił swój nieskazitelny profil  
Od szarż i rang, od plotek i od zwad.  
W milczeniu łyka ślinę, dym i hausty wina,  
Patrzy i wciąż unosi wzwyż ostrą jak nerw,  
Cienką, żywą, ruchliwą swoją brew,  
Tak jak kot łasy grzbiet smukły wygina.  
Oto on — gigantyczny kot przymilnie-słodki,  
Dręczony wyobraźnią chorą, oto on —  
Siedzi tu z fizjonomią diabła i dewotki  
Wśród hulaszczej kompanii, nadając jej ton.  
Oto on — kot Mruczysław dobroduszny,  
Wygina grzbiet, ostrzy pazury, mruży wzrok  
Tu, w knajpie, i tam w sądzie, wśród peruk i tog,  
W mgłę magistratur, biur, w ich atmosferze dusznej.  
Teatr kreatur i pijanic, teatr monstr  
Otwiera się przed marzycielem i fantastą,  
I brew się w górę unosi spiczasto,  
I język rozbestwiony bije w zębów most:

— Ja spity?! Ja mam gest, jak ten skazaniec!

Hej, gospodarz!

Wina! Hej, ognia! Świeczek więcej znieść!

Spirytus, cukier, skórki z pomarańczy podasz...

Wiwat poezja! Bracia, pijmy na jej cześć!

Hej, podpalaj spirytus! Wznieć stos! Auto-da-fé!

Niech nam spirytus w ogniu świętym oczyści się najpierw

Jak dusze chrześcijańskie!... W ekstazie się drze

Brać historyczna w tej berlińskiej, w tej bluźnierczej

knajpie!

Buzuje rześko poncz, języczki-płomienie

Błękitnieją nad ogniem jak nad marchwią nać,

A nad kotłem, burczącym jak brzuch, glancu lśnienie...

— Dalej, Teodorowi ponczu dać!

Panowie, w winie prawda i natchnienie...

Sinieje loch poblaskiem zimnym, złym

Jak stosu inkwizycji tajnych łuna.

— No dalej, czerpmy z kotła ten piekielny płyn,

Ognista euforia niech się święci u nas!

Leje się trunek, to trujące zachwycenie,

Kielichy już parują i musują w krąg,

Wstają ogniki jak świecące palce sinych rąk,

A ponad pijącymi — poświata, dym, cienie.

A on widzi już w swojej wyobraźni chorej

Czerwone lampy twarzy, smukłe szpady świec,

Wszystko zaczyna płynąć, krążyć, biec —

Ruszyła maskarada nocnych fantasmagoryj.

Łyskanie wścieklej ciszy tnie, za razem raz,  
Otwory gąb i słowa wyrzucane  
Staczają się na skraj absurdu uskokami fraz  
Jak krągłe głazy nad urwiska ścianę,  
Zgiełk jak słup rośnie, i jak ogień ku górze się pnąc  
Stromo potraça strop jak słup i jak harmider.  
— Jam śmierci jeszcze raz podstępnie wydarł  
Natchnienia, oszołomień feeryczną noc.  
Tę noc burzliwą biorę na ramiona śmiało  
Jak kłodę hańby, jak czarny krzyż mąk,  
Niech moje nędzne, moje trupie ciało  
Doznaje gwałtu i tortury własnych rąk.  
I jak nekrofil pastwiąc się nad sobą-trupem  
Krzyczę rozkazująco do słów-mar:  
Z najgłębszych ludzkich jam, z podświadomości szpar  
Wyłaźcie, przekłuwajcie pruderii skorupę.  
Wyłaźcie, wściekłe myśli jadowitych sieć  
Jak pajęczynę, która dławi i uśmierca.  
Wypełnijcie, pająki moje, chcę was mieć,  
Bym mógł, poeta, bigot i bluźnierca,  
Zapełnić wami papier, biały z przerażenia,  
I by we łbie, gdy mi zatruje go wasz jad,  
Jęły ruszać mackami potworne marzenia.  
I niech się krzyk fantazji czarnej rozprzestrzenia,  
Niech w biel papieru wsączy się wasz ostry jad...  
Piekielnym prochem cię nabiję, manuskrypcie,  
Prochem spod miotły czarnej — chroń ten pulwer,  
chroń!...



Niech znowu wrą burzliwe kotły w naszej krypciel!  
I niech jasności bursztynowy klucz  
Zazgrzyta i otworzy duszę z wszystkich spustów...  
Przyjdź! Oczekuję cię wśród nocnych uczt  
Twórcza rozpusto!  
Jak długo gniew me serce na łańcuchu będzie żarł,  
Jak długo chce je dręczyć na łańcuchu

przeklęty włóczęga!...

Wypowiedziawszy to, po kielich pełny sięga,  
Żeby zgasić suchy i piekący żar.  
Gadają biesiadnicy. A on słucha, okiem łypie,  
Słucha, lecz słyszy tylko strzępki słów i zdań,  
Bo krztusi się i dławi — w umęczoną krtani  
Astma jak krab wczepiła się, i szczypie.  
Uznawszy, że bankietu nadszedł koniec,  
Skoro wodzirej opadł z sił i schryplł,  
Siadł wściekły Amadeusz i starannie jął ugniatać

w mokrej dłoni

Czarnego, smolistego knastra parę szczypt.  
Jeszcze w kotle się mieni łuna siniejąca,  
Lecz rośnie cichy mrok, poświata znika z czoł.  
Parę czapek z tytoniem tłustym przynosi służąca  
I ospale przed gośćmi kładzie je na stół.

Już fajansowe faje nabite tytoniem  
Pykają i falami rozchodzi się dym.  
Ruchy stają się senne, bractwo w ciszy tonie,  
Oddane mglistym myślom i marzeniom mdłym.  
Długie cybuchy w zębach grają jak oboje,

To wydmuchują dumki, to znów dymne sny,  
Które snują poeci tropiąc myśli swoje.  
O, kantaty tytoniu, piruety mgły,  
O, pnące się błękitne muzyczne powoje!  
— Ach, dosyć natchnień, słów, bzdurzeń o śmierci, bajd!  
Patrzcie, nie taki straszny ten niemiecki diabeł.  
Gdzie masz nuty, te nuty, któreś właśnie nabył?  
Siadaj do klawikordu! Co to będzie, Haydn?..  
Hoffmann siada: wziąć najpierw akord ręką bladą,  
By się w nim kompozytor znowu ocknąć mógł!  
I oto wichry wierne drgnęły i do nóg  
Dym napęczniały jak flagi mu kładą.  
Już wznosi swoją prawicę włochatą  
Nad spokojnie szczerzące się klawisze szczęk,  
Gdy wtem dwa czarne palce cyferblatu  
Mocno się zacisnęły: brzdęk, brzdęk, brzdęk! —  
Pada dwanaście monet — byłyżby obiata,  
Którą noc złożyć chce Serafiońskiemu bratu?..  
Zapowiedź błogiej ciszy przyniósł mu ten dźwięk.  
— Wybiła już godzina nasza, duchy romantyczne!  
Służba, płaszcze! Znikamy już! I lichy bierz!  
— Na dworze deszcz...

Na dworze znowu skrzypi deszcz  
Jak nad papierem pióra pedantyczne.  
Gotyckim pismem na tle nocy kreśli deszcz  
Trudny do odczytania Berlin stary..  
Któż to przedziera się przez gęsty deszcz  
Jak przez zarośla bujne na kształt mary?  
To radca Hoffmann tonąc już w półśnie

Ulicą brnie, kałuża nie kałuża,  
I jak pasaże gam ulica się wydłuża  
I cichnie w dali, a on dalej brnie.  
Place zarosły deszczu gęstwiną strzelistą,  
Gęstwiną nieprzejranych głuchych strug  
I nad nim, pijanicą, szaleńcem, artystą,  
Jak muzyka się niesie ich rytmiczny stuk.  
Ach, kolumnado strun, dźwięcz, spadaj, szalej,  
Ach, deszczu chimeryczny, płyn i nies swój szmer  
Przez prześwity, przecznice, zakręty i dalej,  
Na ukryty w trójkącie ścian, znajomy skwer!  
Tam dom, gorąca grzałka i żonusia piękności,  
Dom, z szufladami izb, po schodach tylko wbiec  
I zaraz szlafrok bawełniany i szlafmyca,  
I przyjemnie grzejący, korpulentny piec,  
I miła woń kadzidła powietrze przesyca...  
— Amelio, śpisz? Amelio, idź i otwórz drzwi,  
Ktoś zapukał trzy razy... Szelest sukni. — Kto tam?  
To ty, Amadeuszu?... No, nareszcie ty...  
Zdejmij zaraz pantofle, nie nanoś mi błota...  
Pod piec pantofle kładąc, żeby schły,  
Śmieje się w duchu Amadeusz zadumany,  
I uśmiechają się na kaflach polewanych  
Rycerze różowiutcy, dziewy modre, brzuchacz pstry,  
Pstry dzięki bielom, błękitom, zieleniom, cynobrom  
(To holenderskich zdunów idylliczne sny),  
Trzymając w splocie rąk swoją kochankę dobrą,  
Mdlejąc z rozanielenia — też śle uśmiech mdły.  
Opasły piec flamandzki ciepłem tchnie, a z jego glazur,

Z obrazków, ozdób, ptaszków, kwiatuszków i wstąg —  
Lśni ochra, czerwień, biel, ultramaryna, beż i lazur,  
Sto barw paruje, grzeje, promienieje w krąg.  
Podłogi namaszczonej skrzyp, drzwi wypaczonych zgrzyty,  
I Hoffmann błogo w swym zaciszu na fotelu siadł:  
Wpatrzył się w starej sekretery ciężki blat,  
A przed nim puchar, pióro białoskrzydłe i kałamarz syty...

1929

*Józef Waczków*

## ŚLEPCY

(Z rozdziału drugiego)

— O bogdaj zapomnieć tęsknoty i ból,  
O bogdaj zapomnieć skruchy i przewiny,  
O bogdaj zapomnieć ciemne koleiny  
Świata ogromnego i ogromnych Dzikich Pól!  
Dziki moje Pola, wielkie moje Pola,  
Kurzawę twych dróg jarmarczny śpiewak zna  
I w jego skurczonym sercu stale gra  
Twoich niespętanych wichrów samowola.  
Jeszczem z dziadem chodził na żebry,  
a dziad  
Przyuczał do kobzy mą dłoń, drżącą z mrozu,  
Gdy nosa zadzierał w Głuchowie pan Rozum —  
Do chrznanu ten rozum, coś, hetmanie, zjadł!  
Rozbito Baturyn,  
spustoszo Głuchów,  
Wciąż dymią kurenie splądrowanych wsi...  
I słyszę wciąż tupot,  
ten żołdacki, psi,  
Szczęk rusznic, halabard wciąż zgrzyta mi w uchu...  
Słyszałem Kalnysza, jak jęczał i wył,  
Gdy w okno kibitki palce wbijał sine,  
I chłonał oczyma,  
i kłał Ukrainę,

I żegnał jej ziemię, gdzie cisza i pył...  
 Słyszałem modlitwę o pomstę i męstwo  
 Z ust Melchizedeka — wzrok zatapiał w grot  
 I w głos błogosławił posępne zwycięstwo  
 Zaciętych jak krzemień hajdamackich rot.  
 Słyszałem, jak ognie pod Kodnią huczały,  
 Jak skóra pękała, gdy ciała ciął bicz...  
 A dzisiaj...

I dzisiaj słyszałem niemało...  
 Lecz milcz, nawiedzony upiorze, milcz!...

Zapomnij, co było, o serce bezradne,  
 Wsnuj się w swój mądry i rozważny ład,  
 Myśli skłębionych nie wciągaj w tę zwadę,  
 Mają za sobą już setki zwad.

Maluczko, a stanę się łupem cmentarza,  
 Więc mówię, nim zejdę w milczący świat mar:  
 Kozackie dobro ważniejsze od swar,  
 Dobro czerpane z dóbr gospodarza.  
 Zmieniają się wiatry i świat zmienia twarz,  
 Dziś łąki pod Kodnią bydłatek są pełne,  
 Korzystaj, Kozacze, koś trawę, strzyż weinę,  
 Toż od Ukrainy wszystko to masz!  
 I słodką pszenicę,  
   i miód lipcowy,  
 I ryb rozmaitość,  
   i mleka w bród!  
 Otwarto krainę dobremu wiatrowi,  
 Tchnął życie w popioły, dojrzewa w nim płód.  
 I deszcz ciepłorodny tańczy w tym wietrze,

I krzątać się raźniej, gdy dobry gra wiatr.  
On zdmuchnie cień swarów bezpłodnych i zetrze  
Krwi bratobójczej ostatni ślad.

I patrz —

targowisko, Kozaków gromady,  
Toż wadzić się, szarpać — ani im się śni...  
— To targ!

Czy targ nie lepszy niż te wszystkie dni,  
Dni bojów podstępnych i wojennej zdrady?...  
Każdy słucha.

Stragany i budy stłumiły  
Jarmarczny harmider. Uciszyło się w krąg.  
— Brać spokój na borg? Toż spokój jest miły,  
Gdy można zarobić nań trudem swych rąk!  
Ja ślepiec, a widzę —

topnieją na strzechach,  
Jak w niebie kurzawa, zgęstniałe złe mgły.  
Targowy zysk — oto po trudzie pociecha,  
A trud płoszy myśli dręczące i sny!  
I ucichł ten ruch, co tu jątrzył świadomość,  
I ziemi gorejącej się jawi swój ład  
Ta najprawdziwsza, niema nieruchomość —  
Materia żywota,

materialny świat.

A ruchy wszelkie szamocą się w matni:  
Chcą jakichś rozwiązań, więc drzemie w nich sen  
Bezruchu sprzed wieków — ten pierwszy, ostatni  
Początek wszystkiego, i miara, i sens.

62 Bo ruch jest jak struna, co sama przemaga

Obłędne brzęczenie, wylęgle z jej drgnięć.  
Tak mądrość przychodzi, ta jasność naga,  
Rodząca się z szału, gdy zawrzał jak rteć.  
Tak w locie, co przeszkód ni pęt żadnych nie zna,  
Na szczytach mądrości osiada myśl.  
Tak Kozak w swe jutro wstępuje już dziś,  
Bo zło minionego zamętu okiełznał.  
Przegnany,

wicher przeszłości

z głuchł,

A ja na szlaku wszechludzkiem śpiewam  
Jarmarczność świata, krzątanie, ruch.  
W ogromie jego już wieczność dojrzewa...  
I widzę —

spokojem i trudem zajaśniał ten szlak,  
I czumak sól wiezie, i trzody są pełne owczarnie,  
I chleb, i gorzałkę, i czego tam jeszcze ci brak,  
Kozacka dostarczy ci brać, co się garnie  
Pod skrzydła zwycięskich jarmarcznych flag!  
Szacunek i spokój uzyska za wszystko,  
Co dobry gospodarz przyniesie na zbyt,  
Bo ludzkość dzisiejsza to targowisko,  
Gdzie Kozak utwierdza kozacki swój byt,  
Choć czuje, że władczo w niewolę go biorą  
Potęga rubli i siła schizmatyckich koron...  
A ty, Poletyko!?

Rzewucho — ty!

I ty, Koczubeju!

I ty, Kapniście!



Czyż nie wywodzicie się z naszej krwi?  
Hrabiowie, książęta we wstęgach złocistych!  
Tę kość z naszej kości... Chodzili do szkół —  
I tkwią w Petersburgach, Warszawach — krajanie!...  
A ty mi tu łkasz — zapomniani, oplwani!  
Od tego brat bratem, bym w oczy mu pluł!  
On zacny, bo syty,

on chluba — krew nasza:

Opluje, lecz potem otworzy swój trzos...

A ja — od macochy?!

Nie kradłem — przepraszam! —

I nie dorobiłem się!

Cóż, taki los...

Choć ślepiec i dziad,

nie upadam na duchu,

I siebie sprzedaję wychodząc na targ...

Tu ciche westchnienie spłynęło mu z warg

I zmilkł.

I odezwał się młodszy:

— Staruchu!

Jak czarna palisada tkwi nad nami wiek,

I pada jego cień na drogi,

I każdą przepoławia, jakby miecz złowrogi

Z rozmachem i na odlew siekł.

Przechodzą ciężkie i dziwaczne chmury,

Jak po wystrzale pachnie prochem, próchnem, dżdżem.

Chylą się lasy — wiatry suną z góry

I strzygą podobłoczne runo ziem.

Lecz wiatr wysoki zawraca i bierze

Rozpęd na inny, nie przetarty szlak,  
 Inne świtają mu we mgle rubieże,  
 Których nie widać spod jarmarcznych flag.  
 Powrócę może, by rozognić wstydem twoje oko,  
 Tę złowieszczą ciemnicę, popielisko złud,  
 A może twój przewodnik będzie ciebie wiódł  
 Na mogiłę jak rozpacz głuchą i głęboką.  
 I powie wnuk, i powie dziad:  
 Ten grób od lat zarosła już darnina...  
 I dziad we wnuku nie rozpozna syna,  
 Bo nie rozpoznawał syna już od lat.  
 Za trupem trup padniemy, my, przyszłości miazga,  
 Bo przyjdzie nowy czas, i przyjdzie nowy lud,  
 Co w nienawiści twórczej, jątrzącej jak drzazga,  
 Nazwie mnie: zabłąkaniec i podnózek złud,  
 A może powie jeszcze: ślepy, biedny mazgaj.  
 Co odpowiem?

Że, ludzie zagubionych dni,  
 Byliśmy wszyscy ciemni i upokorzoni?  
 Że z pustych oczodołów mych aż do korzeni  
 Wydarto żywe tkanki, w których jasność bodaj émi?  
 Żem błdził po zaułkach ślepych, kiedyś drogi wszystkie  
 I ziemię wszystkie z krańca w kraniec zszedł?  
 Że świat widzialny nie jest tłukącym się ptaszyskiem,  
 Co kanaliki nerwów porusza jak kret?!  
 Nie ma co kłamać.

Toż oczne orbity  
 Niby spragnione ziarno chłoną ludzkie łzy  
 I wilgoć dróg,

i świata rośne mgły,  
I głów ich wiecznie jest niesyty!  
Nie ma co kłamać.

Wędrujemy w mgłach,  
Lecz wiemy przecie, że droga jest wieczna.  
Że żadna przeszłość nie jest ostateczna.  
I czyżby obcy był nam niewidzialny strach?!  
O trwogo! Ziemska trwogo!  
Nikt cię nie widział —

lecz drzę niczym liść

Posłusznie idąc drogą,  
Bez której trudno ślepemu iść!  
Twój oddech stopy mi liże,  
Jakbyś szła w rytmie mych nóg —  
A może mam leżeć krzyżem  
Na skrzyżowaniu dróg?  
Zgnieć sercu w błocie, gdy się jest ślepcem?!  
Jałowa ziemia błądzi wśród ropy.  
A może grobu sens jest w kolebce,  
W której niemowlę ze strachu drży?  
A może jutro się skryło w przeszłości mogiły?!  
A może — niechże czarta, co tak nas wystrychnął

i znikł —

Wszystkie uszy ogłuchły i przegapiły  
Pogrzebany wśród grobów przyszłości krzyk?  
A może to przeszłość nasza nie miała dobrze w głowie  
Lub śpimy, my, oślepli, głusi potomkowie?  
Więc ślepiec jedynie szczęśliwy jest dziś  
I nikt w jego mądrość nie może się wgrzyźć?

Więc ginąć wśród burz albo zgłębiać cmentarze —  
Aa, chodźmy stąd, upał tu, leje się pot...  
Ślepiec umiera na pustej Saharze  
Lub padłszy za karczmą pod płot...  
— Ty zdechniesz jak pies, jak przegnany opilec.  
Won! Idź kończyć grę swą, krakajło! No już!  
Mnie cieszy ten plac, gdzie czerń może wylec —  
Mój targ...

Ja tu umrę warując jak stróż!  
Podniósłszy się,  
młodszy zamachnął rękawem,  
Niech ma po nim jakąś pamiątkę ten dziad:  
Wionął mu w twarz odorem słodkawym  
Potu, cebuli, zatęchłych szmat.  
Lecz nie skrzywiła się twarz starucha,  
Potrafił spokój zachować w tej grze —  
Prawicą gładzi instrument i słucha:  
W pobliżu przewodnik kęs chleba ssie.  
Przybłęda macając przed sobą rękami  
Mijał stragany,  
przystawał,  
szedł.  
Potykał się, wpadał w kałuże i jamy,  
Lecz wstawał i kroczył.

Aż odszedł het-het...  
I w uszach starucha szmer kroków zanika,  
A kiedy na dobre już wybrzmiał i zgasł,  
Odezwał się ślepiec do przewodnika:  
— No, wstawaj, mój chłopcze!

I na nas już czas!

Błąkają się widma po placu jarmarcznym,  
Wspominki, złe cienie, stęchlizna i pleśń...  
Idziemy stąd, chłopcze, pójdziemy do karczmy,  
Tam spokój, wesołość i ludzie, i pieśń.  
Pamiętaj, co ślepiec sędziwy ci rzecze,  
I trzymaj w zanadrzu tę mądrość jak glejt:  
Jedyne, od czego na duszy jest lżej,  
To wsłuchać się w ciche serce człowiecze...  
No, prowadź mnie, malcze!...

1930—31

*Józef Waczków*

## KARPACKI DĄB

Słońcem przeszyty na wylot, w wichurze, w zielonych  
ogniach  
Suszy rzeźbione swe liście, na których srebrzy się rosa.  
I niech się góry zapadną, niech burze piekłą się  
co dnia —  
On tu zapuścił korzenie. Stąd się nie ruszy. Tu osiadł.  
Niełatwo mu było wzrastać, co rok rozkwitać i męźnieć,  
Wbijać korzenie uparte, jak giętkie żywe ościenie  
W odwieczne skalne warstwy, w podziemne węzły  
potężne,  
Gdzie cieką rzeki zaskórne, gdzie drzemią trzęsienia  
ziemi.  
W męce swe ciało ku górze, wprost z łona ziemi  
wyszarpał,  
Mocno, zachłannie, zębami wczepił się w niebo  
nad głową —  
Już tylko przeciąć czarnoziem i przebić skorupę szkarpy,  
By w pąki nalać chlorofil i oczekiwać na owoc.  
Już wszystek pełen soku; a sok ten ma smak uporu,  
I szlachetnego gniewu, i gorzkiej, zachłannej pracy —  
A teraz szumi mu w żyłach i w ciele strudzonym gore,  
Z początku trwożnie pragnący, by wnet wybuchnąć  
jak rasa.

Wyrosłeś wbrew kamieniom, osiłku trudny w pożyciu.  
A gdy już konar urodzisz, to nikt nie zdoła go złamać.  
A kiedy westchniesz, to szumne w gałęzie wstępuje życie.  
Tak wzdychasz, rodzisz, wyrastasz i łamiesz wszystko  
dokoła  
I krzepniesz, i całym ciałem wyczuwasz dreszcz  
życiodajny,  
To garbisz się, to ku niebu podnosisz sękatę czoło  
I w tym jest właśnie piękno. Wspaniałe i nadzwyczajne.  
Stoisz, o długoręki, napiąwszy mięśnie, jak kowal,  
Który się z czarnych kamieni uniósł ponad kowadło  
I wsparty mocno na bryle oczy w dalekość skierował —  
Gdzie słońce z młodym porankiem w szczęśliwe łączy się  
stadło.  
Patrzę na ciebie z radością. I oto nagle poznaję  
W twej krasie dębowej — Jego. On też w tych górach  
zaczynał.  
I już jak dąb ten właśnie nad moim wzruszeniem stajesz,  
Wielki poeto karpacki, przesławny kowalski synu.

1940

*Aleksander Baumgarten*

## **DROGA .**

Za pułkiem pułk. Miarowy chrzęst metalu.  
Frontowych dróg surowy, prosty ład —  
Nad linią wierzb, nad taflą wód, pomału  
Wyrasta wielki dym. To Stalingrad.

Przez dymne kłęby, żółty pył i spiekę,  
Przez plusk wołżańskich, ociążałych fal  
Już widzą ludzie bitwę niedaleką,  
Już im złowrogim głosem huczy dal.

Wtem oiszę wód daleki huk poruszył.  
W masywach skał, we wnętrzu ziemi drży.  
Szeroko gra miarowy świst „katuszy”.  
Pryskają w krąg odłamki wściekle min.

Nawała bomb. Rosnący ryk głębiny.  
To sypie z chmur ulewa czarnych brył.  
Za pułkiem pułk. Kurzawa mknie w równiny,  
Dziewięćdziesiąty dzień nie spada pył.

Za pułkiem pułk potężną prze gromadą,  
W przystaniach tłok, gryzący oczy dym,  
By na ruinach świętych Stalingradu  
Zwycięski opór stawić wrogom swym.



I będą odtąd błogosławić wieki  
Ich przyjdzie tutaj, skrytych w szarej mgle,  
Na stoki wzgórz ojczystej Wołgi-rzeki,  
Na święty popiół starej ziemi swej.

Bo dotąd nikt w zwycięstwo tak nie wierzył,  
Bo dotąd nikt nie wylał tyle krwi,  
Jak ci narodów cisi bohaterzy,  
Którzy na śmierć po wolność miasta szli.

1942

*Marian Jurkowski*

## WICHER ZE WSCHODU

Żelaza i dymu, i krwi, i kurzawy  
Stiumioną woń niesiesz, o wicherze ze wschodu.  
Przybywaj, walk świadku, nad stepem leć krwawym  
Do ziemi ojczystej, do mego narodu!

Nad Sułą dmij w surmy, u Dniepru grzmij w rogi,  
Młknij poprzez dalekie, błękitne Karpaty  
I przynieś narodom krzyk bojów złowrogich,  
I zwiastuj zwycięstwo, i wieść dzień zapłaty!

Podmuchałem gorącym dziś rozpal w nich serce  
I natchnij, przepełnij je gniewem bez granic;  
Niech siły stokrotne poczują znękania —  
Dni późny, dni cierpienia nie wrócą już więcej.

To czas wściekłych nocy i krwawych przedświtów.  
Drga ziemia. Szaleje żelazo zdradzieckie.  
I płomień — na czołgów rozpalonych płytach,  
Na siwej i szarej złej stali niemieckiej.

Dziś wrogom ty niesiesz woń czadu, blask iskier,  
O, nieulekniomy nasz wicherze ze wschodu,  
I wpijasz się ogniem, przebijasz pociskiem,  
I idziesz wciąż naprzód wśród kurzu pochodów.

Ubierasz dziś niebo, doliny, bezdroża,  
Jak drzewce sztandaru w blask gęsty szkarłatu.  
Ten blask jego zaćmi złocistych zórz pożar —  
Bo blask to krwi jasnej, przelanej przez katów.

Bo blask ten nad nami się dzisiaj roztoczył  
Zwiastunem przedświtu, jutrzeńką pokoju.  
Tym światłem poległych dziś jarzą się oczy,  
To światło rozpala w żyjących żar boju.

Zna blask ten nasz żołnierz nad pluskiem Kubania,  
Nad Donem wzburzonym, nad dumnym Kaukazem.  
Od ostrza bagnetów żołnierskich osłania —  
Ten sztandar, co zawsze jest nam drogowskazem.

Wygląda go, wzrok wyteżając, partyzant  
W ciemnościach puszczy briańskich, w połtawskich  
dolinach,  
Wśród gęstych, skłębionych poleskich mgieł ryżych  
I na nie pomszczonych kijowskich ruinach.

I siostra nań czeka na pogorzeliśku,  
Ramiona podnosząc, jak płaczki dni starych;  
Gdyż chce ujrzeć pierwsza w najpierwszym dnia błysku  
Te w górę wzniesione najdroższe sztandary.

To one zmęczonych najtkliwiej osłonia,  
Pociechę przynosząc w nieszczęścia godzinie;  
I siły użyczą ich sercom, ich dłoniom  
Na czarnej i nagiej ziemi Ukrainy.

Tych ludzi niezłomnych nic nigdy nie zmoże.  
To dzieci wolnego, sławnego narodu.  
To w was dziś swobody wpatrują się zorze  
I biorą cię w płuca, o wicherze ze wschodu!

1942

*Tadeusz Chróścielewski*

### **III. NAD MORZEM**

Ziemia załamana nad huczącą tonią  
Powoli się kruszy, sypko w morze schodzi,  
Gdzie falą graniastą wibruje i dzwoni  
Blask morski bezbrzeżny, bezkresny światłocien.  
Wdziera się do wiersza trwożnym, bujnym szumem  
Wspomnień i obrazów, przeczuć, wizji pościg.  
Gdzie koniec tych wspomnień? Nie ma kresu dumom?  
I nie ma też ciszy w twojej samotności.  
Tu tylko ty i toń, tylko rytm i cienie,  
Płynny heksametr fal i brzegu cisza korna —  
Tu krzyki, skargi w krąg, ludzki płacz, cierpienie  
Chcą znaleźć wyraz swój, pragną słów i formy.  
Ty czekasz w napięciu, żeby jak w lagunę  
Wdarł się w twoją duszę wiersz gwałtownym szkwałem,  
Aromatem słowa aby w ciebie runął,  
Niosąc sól obrazy i hardą zuchwałość.  
Już wiersza gniewnego nie zdołasz osłabić,  
Bo pragnienie ducha nie da się ugasić!  
Na nic klątw i żartów słodko-cierpki napój  
I jęków miłości potajemny haszysz.  
Tylko z namiętnego szeptania „Ekskuzy”  
Odgadnie w przyszłości dociekliwy słuchacz,  
Że to złe Erynie, a nie śpiewne Muzy  
Miotaly tobą tu, w samotności głuchej,

Sam na sam z topielą, z jej niesforną mową,  
Nad czarną przepaścią, nad szumną kipiela,  
Kiedy byłeś takim, jak byłeś — surowym  
Sługą i zwiastunem doniosłego celu.

1956

*Florian Nieuważny*

#### IV. IMPROWIZACJA

Jak mglisto i duszno jest w sali empirowej  
Od dymu i słodkiego zapachu perfumy;  
Drżący blask sięją świece, roniąc łyzy woskowe,  
Różnojęzycznych gości oświetlając tłumek.  
Oto sankt-petersburski zalotnik i damy —  
Wstrząsając lśniącem kokiem, emabluje panie;  
Poskrzypując muzycznie zgrabnymi butami,  
Przechodzi jakiś panek w szlacheckim żupanie;  
Zwrócił się ktoś po polsku do prowincjonała,  
Lecz ten prócz francuszczyzny nie uznaje mowy.  
Słysząc słowa rosyjskie, greckie zaśpiewało,  
A tam znów zabrzmiał język gruziński gardłowy.  
Obok Kozak-tubylec żywo o czymś gwarzy  
Językiem melodyjnym, ukraińskim, dźwięcznym...  
Zmęczony mieszaniną tych głosów i twarzy,  
Adam wyszedł na ganek, wsparł się na poręczy  
I słucha nocy.

Dobiegają go słowa dalekie, znajome:

„Nawarin... Ibrahim... Rzeź bezbronnych w Chiosie...”

Zebrawszy się w Polaka gościnnego domu,  
Grecy biadają gorzko nad nieszczęsnym losem.  
Adam zna aż za dobrze ich rozbrat i swary,  
Ale w tej chwili widzi coś jeszcze poza tym —  
Widzi miecz Missolungi, cypryjskie pożary

I ludzką krwią omyte stare głązy Aten;  
Bohaterstwo narodu, jakiego nie zmoże  
Najgorsza nawet podłość, żadne ludzkie bagno —  
Chociaż zdradzą doradcy, klóćą się wielmoże,  
A wodzowie zwlekają i skarbnicy kradną...  
Lecz gdzież są jego goście, co się z nimi dzieje?...  
Są i coraz więcej do domu ich płynie —  
Oto korsarz, co przybył niedawno z Morei,  
We frygijskim kołpaku na rudej czuprynie,  
Tuż za nim czarny chłopak, tocząc okiem dzikim,  
Przemyka w jego cieniu, jakby chciał się schować.  
— Przyszedłem do was dzisiaj ze swym niewolnikiem.  
— Zdobyczny? Wzięty Turkom? Piękny, ani słowa... —  
I nagle ich rozmowę przerwał głos poety,  
I kazał się obecnym odwrócić z zdziwieniem:  
— Wybaczcie, ale milczeć nie mogę, niestety,  
Bo milczeć nie pozwala mi moje sumienie.  
Pan, jeśli się nie mylę, przybywa z Hellady?  
Pan zna gwałty oiemięzców, śmierć w bitwie, śmierć  
z głodu —  
Gotów byłeś dać głowę, gardząc strachem bladym,  
Za rzecz świętą, za wolność swojego narodu —  
A jednak niewolnictwa więzy pan nałożył  
Na to czarne pachole... O, czyż pan się ludzi,  
Ze wolnym siebie taki naród nazwać może,  
Który niewolnikami czyni innych ludzi?

Zachnął się gniewnie Greczyn. Ludziom się zdawało,  
Ze runie na poetę. Zamilkł tłum dokoła.



Mickiewicz nań spoglądał i ręką niedbałą  
Odgarnął pasmo włosów kasztanowych z czoła.  
— O, pani, co nas gościsz, chwilę się zastanów,  
Może teraz w twym sercu żadnych pragnień nie ma,  
Ale ta czarno-biała ścieżka fortepianu,  
Spójrz, jak błyszczą się smutnie, zastygła i niema.  
Niech więc ożyje, zaszemrze, zadźwięczy,  
Jak łożysko potoku, jak wezbrana rzeka,  
Gdyż słowo... tak, nie może milczeć słowo więcej,  
Choćby człowiek najdłużej ociagał się, zwlekał.  
Tak i ja milczeć nie chcę! Niechże się przemienię  
Dziś w słowo buntownicze, to, które nie znika,  
O duszy tej epoki, w zdeptane marzenie,  
I niechaj słuchoa gniewny władca niewolnika!  
Widzę w dali żalną wieś w gaju palmowym,  
Podobną i zarazem inną niżli nasze —  
Skamieniała z rozpaczy, w bagnisku się chowa,  
Gdzie nikt nie zna przestworzy, zapomniał o czasie.  
Tam senną falą w wieczność płyną pokolenia,  
W gęstej, kłującej trawie ludzkie stopy toną  
I oto jeszcze jedno wychudłe stworzenie  
Napełniło swym wrzaskiem wioskę zadymioną.  
Co od wieków się działo, to się z nim też działo:  
Poznać głód i choroby, przekleństwo złej doli.  
Tylko matka do siebie dziecko przytulała,  
Łzy się potem zmieszały. — Tak poznał smak soli.  
Poza głodem i febrą nie zaznałeś świata,  
Zazdrościłeś zwierzętom w ciemnym legowisku —  
W nocy cicho do brzegów przybiła fregata,

Banda białych rabusiów szukała tu zysku.  
Pognano niewolników — wieś stlała w pożarze.  
Gdzie matka i gdzie ojciec? Mógł tylko zapłakać.  
Potem kupiec turecki na gwarnym bazarze  
Kupił za nędzne grosze czarnego zwierzaka.  
Stałeś się niewolnikiem... I jesteś nim nadal,  
Przez zuchwalca z okrętów tureckich porwany —  
Widać, nie dość mu droga jest wolna Hellada,  
Skoro wolne pacholę zakuwa w kajdany...

Słowa były francuskie. Lecz ich treść ukrytą  
Dobrze korsarz zrozumiał. Pan mórz buntowniczy  
To czarny płaszcz swój szarpał, to za szylet chwycił  
I chłonał owe słowa wrzące od goryczy.  
Mickiewicz zamilkł, gniewem i żalem przejęty.  
Wówczas tłum rozsunawszy, co nań patrzył z lękiem,  
Korsarz powolnym krokiem podszedł do poety,  
Pokłonił się i wyciągnął rękę...

## VI. SYMFONIA

W spowitej we mgłę orkiestrowej jamie  
Słychać szmer jakiś. A z niego wyskoczył,  
Po chromatycznej szybko wspiął się gamie  
Trelik klarnetu. Teraz już się tłoczy,  
Rozwiązujący z szyi mokre szale,  
Tłum perukarzy i tłum władców tonów,  
Ludek, co wielbi operę i balet,  
Pstrokata gawiedź geniuszów, historionów,  
Tłum zatracieńców i fortuny łowców,  
Zgorzkniałych piewców, natchnionych pechowców,  
Smutne pokłose nie szczęścia i chwały,  
Co się zebrało tu z Odessy całej.

Jakąż to drogą trafiłeś, Adamie,  
Na targowisko, gdzie króluje poza?  
Czyżbyś w tym tłoczonym, hałaśliwym kramie  
Chciał się zapomnieć w dźwiękach wirtuoza?  
Lecz ni samotność, ni tłum tu zebrany  
Nic nie pomogą na twe świeże rany —  
I pogardliwie milczysz, patrząc chmurnie,  
Jak cię mijają te damy, ci durnie.  
Nudne postacie, zawsze takie same...  
Dwóch się schyliło właśnie nad programem:  
„Coś ciekawego?

— Nie sędzę, nie sędzę.

To nowy utwór wykona orkiestra

Jakiegoś Mykoły Kulikowskiego...”

— „Symfonia? Znasz ją?”

„Tę symfonię? Skądże...”

Nikt nie zna dzieła ani twórcy jego...

Już na myśl o tym czuję lekki przestach.

Coś opętało widać dyrygenta:

Szuka objawień w domowych talentach...”

Zamigotały nad pulpitem złotem

Woskowe świece, chwieją się płomienie,

Aż pod sklepienie skoczył cień z trzepotem —

Urosł dyrygent niespokojnym cieniem.

Zda się, wśród cieni przeciągiem miotanych,

Tonie ta sala i znów się wynurza,

I wali w drewniane, pobielane ściany

Deszcz niespokojny, oszalała burza.

Pachniało gliną, potem kalafonią,

Zółtych świec łojem i pomady wonią...

Uciec stąd, uciec i pójść bujnym stepem,

Iść gdzieś, gdzie nie ma tych ścian i tych sklepień,

By się nie dusić w tym kwaśnym zaduchu

Salonów, żartów w teatralnych łóżach,

Nie słyszeć plotek szeptanych do ucha,

Którymi żyje hołysz i wielmoża,

I potem krzyczeć, wołać na świat cały

Poprzez milczenie i wieczne gonitwy

O męce wiary, nadziei wytrwałej —  
Krzyczeć i czekać na wieść jakąś z Litwy,  
Choćby to były pieśni Świtezianki  
Lub oddech jezior, chłodny błękit nieba,  
Choćby wspomnienie lub cień niespodzianki,  
Której tak bardzo do życia mu trzeba.  
Jakież przestrzenie legły między nimi —  
Jakby toporem rozrąbało duszę!  
Tylko słowami — skrzydłami prężnymi  
Zdoła zwyciężyć dalekich dróg głuszę  
I beznadziejne milczących pól skargi,  
I wszystkie moce zajadłe i ciemne —  
Jedna pieśń tylko, zrodzona nad Niemnem,  
Może uśmierzy straszny spazm nostalgii,  
Lecz by przelecieć, ilu musi pętom  
Granic się wydrzeć, rogatek i wieżyc,  
Żeby się przedrzeć przez tłoczną, zakłęta  
Dał, którą serce tylko jedno zmierzy.  
Ponad stacjami, karczmami głuchymi,  
Ponad pustynią dziką kontynentu,  
Przez świst zawiei i przez bagien dymy,  
Przy jęku wichru, wrzasku konwojentów,  
Poganiał ból swój i troskę przekłęta,  
Aż obumarła gdzieś na antypodach,  
W czarnozielony wir zapadła raptem,  
I w niezgłębionych odbiła się wodach  
Niespotykanym i przedziwnym haftem.

Woń macierzanki, zapach mięć zwodniczy —  
I znów melodii skrzydłem się iskrzyło  
Nad zamysłonym jeziora obliczem.  
Była łagodna toń jego i czysta,  
Jak w dzień stworzenia wód przedwiecznych zaród...  
Czy ty mnie wiedziesz w dobrą dal, flecisto,  
A może śpiewa dal, a w niej mój naród?  
Jakaż dziewiczość w smutnym fletu wzlocie!  
Jakże kobieco mdleje skrzypiec ciało!  
Jak ciepły ogród symfonia szumiała —  
Już się nie wyrwiesz z tych dróg, mżących w złocie!  
Idź po nich w miłość, w sny pełne nadziei,  
Niech cię ukryją w sobie ludzie prości,  
I w zmierzchu długich błąkaj się alei,  
Pełnym zapachów, lśnień i omdłałości.  
Jest w tej muzyce zuchwałość i drzenie,  
I dźwięki jasne jak rosa na zieleu,  
I cień błękitny, jak ton wiolonczeli,  
Ty sam w niej jesteś — twój okrzyk, tve tchnienie.  
Tyś w trąb tych grzmotach i w trelów rozkwicie —  
Jesteś wtopiony w jeden ton radości  
Z pieśniami silnych, co kochają życie,  
I zakochanych, wrogów samotności —  
Ale najbardziej tyś w pieśni nędzarzy,  
Tych naznaczonych, których przemoc śledzi,  
Bardów bezdomnych o nieznanej twarzy.  
To są ich dary...

Rozległ się brzęk miedzi.

Huczac, naplywa, coraz dalej siega —  
I czarna laska hebanowa spiewa  
Jak gdyby dusza zaklego drzewa,  
Co sterczy nagie gdzieś na widnokregu.  
Tak mlodzię, słysząc, że gdzieś ktoś tam plęsa,  
Naglym hałasem jasnę nockę wstrząsa;  
Biorę noc w jasyr,

dzwonią,

gonią,

Taniec wichrem mknie, orkanem,  
Pluski pieśni, śmiechu toną  
W rzece lśnienie rozkołysanej,  
A gdy z niej się wynurzają,  
Już nie poznasz tańca tego,  
Coraz szybszym blaskiem grają,  
Tańczą dźwięki już drobnego,  
Wiją wianek chorowodu  
I rozplotly się jak wcześniej  
Pieśni ludu, śpiew narodu —  
Wiecznym blaskiem świeć się, pieśni!  
Prędej mknij, na podziw światom,  
Jak kozica ponad skałą!  
Szybkie skrzypiec pizzicato  
Skry kozaczka wykrzesalo.  
Wyżej, cienie, ledwo słyszysz  
Strun wibrację, drżenie ich...  
Nagle — wybuch. Nagle — cisza.  
Dźwięk się urwał.

Czar się rozprysnął, zdrzał dzwoneczkami,  
Zadźwięczał z dala, cicho jęknął, znika...  
Dyrygent z wolna wyłazi z swej jamy,  
Za nim się cicho szamoce muzyka.  
Lecz to początek — to nie koniec zgoła;  
Bo na samotność, co ciebie dręczyła,  
Tyś w cudzym dziele leki znaleźć zdołał:  
Siłę wspólnoty. To już będzie żyło —  
Wraz z wiarą w lud. O przedziwna siło,  
Którą poznałeś, wygnaćże, tak wczesnie,  
Dla której nie masz zbyt wielkich poświęceń!  
Przyjmujesz teraz prostotę tej pieśni,  
Czule, z wdzięcznością, jak pomoc w udęcie.

Z lekka pijany muzyką, wspomnieniem,  
Opuszczasz salę i oto wychodzisz  
W noc rozdeszczoną, a przemokła odzież  
Wstrząsa twe ciało krótkim, częstym drżeniem  
I wiatr gwałtownie szarpie płaszcz poły.  
Patrzysz na chmury — ani gwiazdki w niebie.  
Ktoś woła? Woła. Ten głos niewesoły...  
Ty wiesz, kto woła i czeka na ciebie.  
Wstają sonety, świadki — jasnowidze.  
Słyszysz, poeto?... Władcze słowo idzie!



**PRZED POSĄGAMI MICHAŁA ANIOŁA**

Wybuchy skał i kamieni, magma, co gniewnie zawrzała,  
Biały ogień marmuru, ryk dzikiego kamienia,  
Ciężki oddech wulkanu, potężny poród ciała,  
Mistrz tępą bryłę dłutem w mocny posąg przemienia.

Tak w odwiecznym wirze atomów myśli i formy  
Wichrzyły się, wybuchały, pragnęły ciała i miary,  
Pieniły się nad przepaściami wśród przeszkód  
niepokornych  
I protuberancjami spadały w doły i jary.

Tak, przeczuwając prawdę, by dojść do istoty okrutnej,  
Kuł on bezwolny kamień i druzgotał milczące bryły,  
I rozwierając chaos, wyciągały się ręce rozkute  
Z otchłani, gdzie się wulkanów lawy gwałtowne kłębiły.

Ryk swój wydarłszy ciszy, gigantyczny twórca  
tych statuj  
Muskularny tors wyprostował i w przestwór wstąpił  
władczo,  
I chciwymi rękami wyszarpnął z otchłani brzuchatej  
Ten spław woli, te stwory, co niepokornie patrzą.

I zadźwięczał skroś wieczność w wąwozach marmurowych  
Krzyk, jak życie zuchwały, krzyk bólów porodowych,  
Krzyk odważnego ducha, krzyk twórczych cierpień,  
tęsknoty,  
Różniący się od niebytu i od jego niemoty.

Ten, co porusza światy, rozbija atomów jądra,  
Krzepnie w żądzę doświadczeń i odkryć woli mądrej,  
Przekracza wszystkie granice, pracuje, miota się, walczy,  
Pada znów, pnie się, milknie i krzyczy, coraz zuchwalszy.

W bryłach marmurowych wyrąbał kształty tytanów,  
Co rwą się ku wyłomowi z mroku nieistnienia,  
Obudzonych, pragnących, niedobrych, zagniewanych,  
Zbuntowanych, godnych nosicieli ludzkiego imienia.

Z czołem jak łuk napiętym, z krzywym, złamanym  
nosem,  
Z trójzębami wielkimi i wykręconym grzbietem —  
Gdyby nie był ten mistrz kamieniarski tak prosty,  
Tak bardzo ludzki, byłby jakimś bóstwem szlachetnym.

Bo poznał on do głębi ludzkich narodzin istotę,  
Najgłębszą mękę i szczęście rękatego twórcy,  
Bezlitosne pragnienie mózgu, głodną widzenia tęsknotę,  
Poszukiwania bezkresne i myśli o dalekich celach.

## PIETA

Wszystko tu dla mnie obce — sklepień łuki,  
Ogromem swoim druzgoczące ducha,  
I organowych nawałnic rozhuki.  
I mszy wystawność, nieczuła i głucha,  
I czarodziejstwo witrażowej sztuki,  
I grzeszny zapach, co z kadzielnicy bucha,  
I hipnotyczne rysunki mozaik,  
I starte płyty w kamiennym dywanie,  
I krzątanina czarnych mniszych zgrajek,  
Niczym spłoszonych kawek przefruwanie.

Wszystko tu dla mnie obce, choć nienowe,  
I w złotym szatrze, w którym pycha gości,  
Nie ma nic, przed czym chciałbym schylić głowę --  
Tylko słów próżnia i pozor świętości.  
I raptem w małej kaplicowej niszy,  
Gdzie kilka świec migota wśród pomroczy,  
Jak czara jasnej zadumy i ciszy  
Cudo niezmierne olśniło nam oczy.  
Jak porzucone dziecię, samo jedno  
Wśród tej wyniosłej i zimnej pustyni,  
W zagadki bytu wnika myślą biedną,  
Los wszystkich istot swoim losem czyni.  
Niby gałązka palmy, kruche ciało —

Na jej kolanach leży syn jedyny.  
Już w nim iskielki życia nie zostało.  
Już się nie dźwignie. Jest martwy i siny.  
I matka patrzy w zamknięte powieki,  
Zastygłe usta i bezsilne ręce,  
I wszystko wie, i nic już nie chce więcej,  
Tylko tak trwać z nim poprzez wszystkie wieki.  
Nie huczna miedź, nie modłów puste brzmienie,  
Lecz macierzyństwa niespożyte siły,  
Nieustraszonosc, duma i cierpienie  
Śmierć zniweczyły — życiem zniweczyły.

I pięć stuleci już ta matka włoska  
Siedzi nad synem nieżywym, zboleła,  
Kamieniem ani próchnem się nie stała,  
Jest tak, jak zawsze ludzka, a nie boska.  
I może syna wniosła dziś dopiero  
Przez portal, świecący pozłotą.  
Wciąż była z synem i nie mogła oto  
Zastonić go od kul karabinierów.  
Krew swoją przelał w potyczce zażartej  
Na rzymskim bruku, w cieniu rzymskich drzew.  
Ta krew — to włoskich komunistów krew,  
Takich jak Gramsci, takich jak Togliatti.  
Umieją życie oddawać za życie  
I kiedy padną, przygarnie ich ta,  
Co im cel walki wskazuje niezbidie —  
Italia. Nieśmiertelność. Pietà.

## **IRYS FLORENCJI**

*Florencjo, tyś delikatnym jest irysem.*

*A. Błok*

Nad melodyjnym nurtem Arno,  
Wysłuchując się w jego kadencje,  
Chodziłem, marząc (trud nie marny!)  
O tobie, irysie Florencji!

Nieb topazowych tło przejrzyste,  
Wczesnego zmierzchu ton miodowy.  
Kopuły del Fiore błyski,  
Stromy jej kontur i surowy.

Przestwór płomieniem mknął w lazury,  
**Czas stał się drżeniem i świeceniem.**  
Stulecia legły tutaj cieniem  
Tych cichych niewysokich murów.

I czytam, pragnąc sens odgadnąć  
Tych cieni, skrytych w każdej niszy,  
Pod nie kończącą się arkadą  
Przecudnej, niby niebo, ciszy.

To — sad zadumy wiecznej, ślicznej,  
Gdzie, w pracy zakochany, wyrósł  
Złocisty nieśmiertelny irys,  
Jak kwiatek siły tytanicznej.

Ona wszak trwalsza od metalu,  
Mocniejsza niż forteczny kamień,  
Co w proch zamienia się pomału,  
Zdeptany, kruchy, połamany.

Leżą te głazy w krąg, pokotem  
Jak pustych twierdz marne wcielenia,  
Chociaż je także Buonarotti  
Składał w mozole złym, bezsennym.

Bez życia są te marne płyty.  
Czernieje kontur bastionów,  
Katowni wonią okadzonych,  
Tych siedlisk pychy i granitu.

Forty murszeją, baszty ślepną,  
Mury kruszeją. Niespożyte  
Są tylko praca, twórczość, ciepło,  
W sadzie ludzkości one kwitną.

1962

*Florian Nieuważny*

## KLARNET TYCZYNY

Kłaniam się wzniosłemu słowu  
wymówionemu przez poetę,  
Hymnowi dążeń i pragnień,  
pieśni dążeń i zdumień.  
Trelami dźwięczy promień.  
Rymami rwie w przód strumień.  
Słoneczna wieść poranna  
wysrebrza się z klarnetu.  
W ogromnej symfonii świata,  
w harmonii słów i zgielku  
Klarnet światłodajny Tyczyiny  
nigdy nie zgaśnie, nie zmierzchnie —  
On dla czujnej ludzkości wygrywa  
melodie czułości pełne,  
Nad sercem wibruje, jak skowronek,  
ten trzepot piękny jak pieśni.  
I kiedykolwiek mi przyjdzie  
wśluchiwać się w gwar nieustanny,  
Ustawicznie w nim będę słyssał  
słowo poety prorocze —  
Wlało się ono w mą duszę,  
otwartą na ziemskie wołanie,  
Kiedy świt niebywały  
ledwie promienne otworzył oczy.

Kiedy dudniły jeszcze wądoły,  
wszczęły ruch osie planety,  
Kłębiły się burze na drogach,  
a w duszach zamęt gościł —  
O, jak były mi potrzebne  
te śpiewne słowa ufności  
I jak przeniknęły mnie światłem,  
mój Mistrzu, Pańskie klarnety!  
Im dane było brzmieć triumfalnie,  
promiennie i basem litym  
Blaskowi dnia śpiewać hosanna,  
grzmieć echem bezdennej sfery,  
Jak i wypada natchnionym  
prorokom kosmicznej ery,  
Pieśnią towarzyszącym ludzkości,  
co wzeszli na wieczne orbity.

1968

*Florian Nieuważny*



**PRELUDIUM DESZCZOWE**

I

O mchem porośle deszczułki  
szczerniałych pogiętych gontów,  
Obrzękły rześnistym brzemieniem,  
uderza deszcz niespodziany,  
I brzękiem burzących się kropel napełnia zgrzybiałe  
ściany

Tej chaty pachnącej chlebem  
i hubą, co tchnie z wszystkich kątów.

Słuchamy — ja i Ludmiła —  
jak palce ulewy biegają

Po gontów klawiszach zszarganych,  
przez dachu stromeego progi,  
Jak ostro wygrywają drzemiące w nas gamy trwogi,  
Jak horyzonty rozmokłe siarką piorunów dziergają.

Tężeje tęsknota. Spadają z wysoka potężne strumienie  
I grzmocą w okapy i bębnią  
po głucho tętniących skroniach,  
A myśli gubiące się w sprzeczkach, przeskokach,  
prześwitach, pogoniach

Szarpią nam proste serca,  
rwą nasze młode istnienie.

Zabrnęliśmy razem na skraj urwistej jak przepaść

rozpaczy

I serce do serca wciąż krzyczy,

i ręki chwyta się ręka —

Być może dobieje nas w końcu, być może ocalić nas raczy

Wiara niezmienna jak pacierz,

samotna i niema jak męka.

Dusza zwątpieniem trawiona resztkami nadziei żyje,

Huk armat i dzwon cerkiewny

zagłuszył zarzewie siły.

Znów na kadłubach święskich

medale, breloki zaśniły,

Znów jaśnie pan Filipenkov zakłada Annę na szyję.

I wszelki ślad po dwu latach skwapliwie się wymiata,

Tu-tam jeszcze drzwi się rozbija,

któs jeszcze pada od kuli,

I dmie już buńczuczne „Kol sławen” orkiestra

pyszałkowata

Na skwerze, gdzie denikinowcy popiersie Szewczenki

rozpruli.

Obsiedli ten skwer obszarpańcy —

mundury niebieskoszare —

To strzelcy wczorajszej Galicji,

a dziś to żołnierze biali.

Z pomiętych mundurów pośpiesznie zerwali odznaki stare.

Siedzą i wargi zsiniałe w uśmiezkach powykrzywiali.

Przeciwko denikinowcom

z nich tylko niewielu powstało,

97 I obojętnie starszyzna strzelała do szeregowych,

By nowej prawdy dla siebie nie szukali tak śmiało  
W orędziach, apelach, ulotkach,  
w złych bolszewickich namowach.

Przez cały dzień kulomioty w budynek stacyjny waliły.  
Niedawno zamilkły. W soborze ogłoszono nieszpory.  
Co się stało, wciąż nie ma Hryhóra, brata Ludmiły —  
Był w kolejowym warsztacie,

czyżby tam był do tej pory?

Z wieczornych dłoni klonu spływają wciąż krople  
deszczowe,

Olbrzymie, ciężkie i smutne  
jak pełne bólu i trwogi

Akordy Szopenowskie

lub rytmy Tarasowe.

O, lzy zwątpienia i męki początku największej drogi!  
Tak ważą się losy serc.

Tak życie nabiera wagi.

Tak zgłębia się miłość i śmierć.

Tak iskra nagłego natchnienia

Jak burzy błysk — tajniki i drogi odziera z cienia,  
I oto stają przed tobą w jasności prawdy nagiej.  
W jasności, co wyfruwa jak z dna otchłani ptak —  
Tak nieoczekiwana, a upragniona tak —  
I czujesz, że nadzieja z ciebie nie wyciekła...

Ty płaczesz, Ludo?...

Schyl się, napij się jej ciepła,

Poznaj jej siłę i smak.

Jej włosy, ust kąciki, ona cała,

Cała gorącym lubczykiem tchnie.  
 I odnajdujesz sekret dziewczęcości w niej —  
 Skryty w szeptcie Ludmiły, w zapachu jej ciała.  
 Bezbrzeżna czułość. Pulsem krwi i tchem  
 Spływasz ze światem po najdalsze horyzonty,  
 I brzmisz jak deszcz, jak miękki stuk kropel o gonty  
 Porosłe mchem.  
 Deszczowe strugi spływają z gałęzi.  
 Tak muzyka się rodzi.

Ty płaczesz, Ludo?...

Ręce złóż na klawiaturze,  
 Niech się ten stary grat napełni szumem niepogody,  
 I niech pod wpływem twoich palców młodych  
 Ocknie się z mgieł niemoty i powtórzy  
 Burzliwe arpeggio wody,  
 Które już kiedyś z siłą niesłychaną  
 Wyłoskotało gniew,  
   nadzieję,  
   bunt

I czarny smutek

z rozedrganych strun  
 Szopenowskiego fortepianu.

Uderz w klawisze, Ludo,

I takt za taktem,

· dźwięk za dźwiękiem bierz —  
 Niech przejmie struny dreszcz,  
   niech się rozzwoni deszcz

I wciąż ten stuk, ten stuk, ten stuk,  
Ciągłe tę jedną powtarzając nutę,  
Jakby przez deszcz wysnute  
Płynie preludium. Pluskiem strug,  
Chrzęstem gałęzi,

chlupotaniem kałuż

Zlewa się muzyka z szumem w ogrodzie...  
Ktoś dookoła dom obchodzi,  
Do okna zbliża się pomału,  
Znów idzie w stronę drzwi, i znów z powrotem,  
I zda się dźwigać coś i uchem ciemność strzyc.  
Ludmiła zrywa się ze strachem:

— Kto tam?

To ty, Hryhorij?

To ty, Hryc?...

W końcu skrzypnęły drzwi i z sieni  
Ktoś do nas zbliża się nie mówiąc nic.  
Czekamy z Ludą, wystraszeni, roztrzęsieni —  
Wreszcie na progu izby staje Hryc.  
W mrok się wpatruje

i przy fortepianie

Z wielkim zdziwieniem zauważa nas:  
— Ty jeszcze tutaj? Zaraz świt nastanie.  
Zbieraj się do domu. Komendancki czas...  
On nigdy jeszcze nie rozmawiał ze mną  
Tak rozdrażnionym głosem i tak obcesowo.  
Wyjdę z wyniośle podniesioną głową  
I pójdę w świt poprzez ulewę ciemną.

## PROLOG DO WSPOMNIEŃ

Głębina wspomnień jak ziejący krater  
Popiołem dyszy, wyje ciszą dna.  
I widzę znowu przezroczyście oczy matki.  
Jest żywa. Matka we mnie zawsze trwa.  
Starczy, zda się, krzyknąć, tylko myśl pchnąć muszę —  
Wspomnienia sięgną trzewi dawnych dni.  
I wkroczą władczo zagarniając duszę,  
By tam zamieszkać, włodarzyć, walczyć, żyć.  
Może wystarczy raptem zboczyć w inną stronę,  
Pójść tam, gdzie wiedzie bocznej ścieżki ślad —  
Wszystko odzyska dawny kształt znajomy,  
Spotkasz za rogiem ciąg przeżytych lat.  
Zdaje się dosyć tylko nagle drogę zmienić,  
Po schodach wkroczyć w ciszy dzwon,  
Aby z zerwanych strum wydobyć ton,  
Zamilkłej muzyki usłyszeć dawne brzmienia.  
O aromaty gorzkich, zmiętych traw,  
I lekka mgła srebrzysta niby greń,  
Spowity w zieleń i w słodką woń zgnilizny staw  
I jęk ponad nim, słodki płacz Szopena!  
Wejść we wspomnienia jak za labiryntu próg,  
Zbłądzić w tej puszczy pośród polifonii szumów,  
Zbierać w pamięci, która chronić umie,  
Pędy i szorstkie kwiatostany dróg.

Uparty trud narodzin i odnowy,  
Zbierania na wpół zapomnianych słów —  
Aż nagle olśni cię jak błysk raptowny  
Wszystko, co było treścią życia, zmagañ, snów.  
Przebrzmiało dawno sztormy klawiatury,  
Taczanka po szczerbatym bruku mknie —  
I bolszewicka cieniutka broszura,  
Którą z rąk matki wzięłeś niby chleb.  
I widzisz każdą żyłkę, która znaczy  
Ślad siny na poźółkłych mamy palcach.  
Wyczuwasz ich nierówny puls i płaczesz,  
Tak jak samotni we śnie płaczą starcy.

1978

*Bazyli Nazaruk*

## 1. STUDNIA LEONTOWICZA

...A on przystanął wśród stepu, wsłuchując się w gwar  
rozdzwoniony,  
W echa i głosy epoki, w serca trwożliwe a drżące.  
I nadciągają zewsząd —  
te łkania, dumania, szepty stłumione i tony.  
Nie ma dla serca i pieśni ciszy kojącej ni końca.  
Falista harmonia stepu i kłosów śpiewne pokłony,  
Chorały niebios potężnych, wiatr trawy figlarnie trąca...  
Czy da się zmieścić to wszystko w znane od dawna  
kanony?  
Czy zdoła objąć to wszystko artysty serce gorące?

Wstrzymaj się, poszukiwaczu pieśni szarooki  
I wsłuchaj się w siebie, w swój jasny niepokój,  
A szept jestestwa podpowie ci, dokąd  
Masz dążyć, aby ojczystych źródeł tajemnicę  
Rozpoznać.  
Zejdź tu obok, w ów jar niegłęboki —  
Tam świeci się oko widzące krynicy,  
Tam wśród dębowych cembrowin wilgotny trwa spokój.  
Odgarnij trzcinę i rutę  
I pachnącą odsuń trawę,  
A zobaczysz studnię-cudo  
Z jasną wodą, żywą, żwawą,



Studnię dobrą ręką wkutą  
W step wilgotny, rosą łązawy.  
Tam, wzruszony, śmiało podejdź,  
Siwymi jak pył ustami  
Znajdź w niej ulgę i osłodeę  
I, szczęśliwy, pij haustami  
Muzykę krynicznej wody.  
Kropelka muzyki. Ożyją usta spierzchnięte.  
Kuleczka rosy muzyki. Bez dna głębia wodna.  
Lezka muzyki. Jak płacz ziemi święta.  
Studnia muzyki. Nikt jej nigdy nie wyczerpie do dna --  
Ani geniusz, ani lata, ani wiatru wycie  
I spragnionego wędrowca woda tam nasyci,  
Woda nasycona wiecznością i życiem.  
On do góry w dłoniach uniesie z ochotą  
To, co najpiękniejszą jest jego istotą,  
Co się w niego wgłębiło, wpięściło i wrosło  
Jak coś o stu korzeniach albo coś stugłose.  
To strumień muzyki. Wytryśnie, popłynie.  
Nie da się zmierzyć liczbą ni terminem,  
Ono przyplływem jest kropli, łez i rosy,  
Swoj płyn nieustannie rozlewa, roznosi,  
Stratowane łąki w rozlewiska zmienia,  
Osłabia brzegi, podmywa wzniesienia,  
Porzuca z dawna wytyczone łoże  
I chociaż całe jest jednym łąknieniem,  
Nie może nigdy nasycić, powstrzymać nie może  
Chciwości ducha, ludzkiego pragnienia,  
By osiągać wciąż więcej, dobro z pożytkiem by łączyć

I zahamować nie może woli upartej, pragnącej  
Wciąż burz, nawałnic, głębszych myśli, wód.  
To cud,  
To cud, o bracia, a w tych wodach przecie,  
Jak o tym śpiewa cnych przodków „szczedriwka”,  
Każda kropelka, każdej fali grzywka  
Kryje w sobie śpiewność od lat i stuleci —  
W tej śpiewności radość ze smutkiem się brata.  
Oj, tak to było od początku świata,  
Że jak pajęczyna te pieśni przeplata  
Wiatrem swawolnym i skromnym barwińkiem.  
Więc leć nad stepami! Panuj nad sercami,  
Miłuj nas, pocieszaj nas, jasna pajęczynko!  
Razem z tobą przecież świat ten zasnujemy,  
Świat zasnujemy i nasycimy,  
I nasycimy, i zapełnimy!

Ruszaj przeto, siewco piękna bosy,  
I daruj światu śpiewną szczodrość losu,  
Z dłoni dobre ziarna siejąc nieskończenie,  
Siej radości i smutku nieprzekupne głosy  
I burz tubalne basy, i hymny zieleni,  
Pasaże wartkich rzek i srebrne trele rosy.  
Niech więc w dostojnej, wzniosłej kantylenie  
Zadźwięczy ziemia, ludzie i epoki.  
Zobacz, wędrowcze! Patrz! Jak pięknie wokół!  
Patrz, jak bije klucz z ziemi dziewiczej!  
I niby orzeł wzlatuje wysoko  
Gest dumny, władczy — dłoń Leontowicza.

Z głębin swej zadumy, z krynicznej pogwarki  
Wywołuje on duchy. To czarownik, magik,  
który przemógł grzech.  
Z pieśni i gwaru, z promieni i ech  
Zapala nad światem światłodźwięczną arkę,  
Przejrzystą, barwistą, wspaniałą —  
Wesołej tęczy siedmiobarwny pałak.  
Każdy z jej końców w horyzont się wwierca  
Służąc lśniącym oparciem modremu sklepieniu,  
Świat odgradzając od mroku i śmierci  
I znamionując muzykę i życie.  
Pod życiodajnym tej tęczy zwieńczeniem  
Ten szarooki człowiek stoi, дума, czeka.  
Jaką zdobył chwałę? Jakie łupy cenne?  
Pieśni i życie. Pieśni i życie na wieki.

1978

*Florian Nieuważny*

## VI. WALC SIBELIUSA W LENINGRADZIE

*Ninie*

W głąb aromatów i szmerów białej nocy,  
W przejrzystą, bezsenną zadumę alei,  
W głąb parków prastarych na morskim poboczu  
Wchodzimy pełni smutku po kolei.

Schyl się, miła, zasmuć, wsłuchaj, ściśnij palce —  
Wsłuchaj się zarówno w lata i w godziny,  
Kiedy w przyływie zasmuconego walca  
Słyszymy westchnienie wspianiałego Fina.

Ta przejrzystość przygaszonych światłocieni,  
Przejrzystość na niebie, na stawie, na sercu,  
Przejrzystość w tęskliwym i rzewnym krążeniu  
Tych walca, przez skrzypce wyszeptanych, tercji.

Troska i mitręga codzienna nie zmażą  
Przywidzeń i przecuć przejrzystej jasności,  
Co w nas, jak przezierczość, i świeci i marzy,  
I czyni widoczną całą dal miłości.

O, jaki perłowy jest odbłask zatoki,  
A fala liliowa leci w srebrny pościg,  
I noce północne, muzyczne, wysokie  
Na zawsze wdzierają się w pamięć miłości.

\* \* \*

Łakę otula już błogosławieństwo śniegu,  
A fale płatków wirujących płyną znów —  
Ja milczę, jakby nad tajemnic księgą  
Pełną łagodnych, wielkich, cichych słów.  
Upojny zmierzch wzmaga ostatnią dnia iskierką  
Tętnienie serca. Słodka trwaj błogości!  
Lecą hen gili purpurowe fajerwerki  
Spadając ze srebrzystej wysokości.  
Idę w milczeniu, ciepło marzę snami,  
Topnieję w dłoniach ciszy, niby śnieg —  
Kryształek, co szczęśliwymi był rękami  
Wzniesiony nad wyroki losu, troski dnie.  
W tym zamroczeniu, błędząc w drzemce błogiej,  
Odejdę w sen i już nie wrócę tu.  
W milczeniu dobrnę aż do kresu drogi  
Przez białą dobrą ciszę wiecznych snów.

## NOTA BIOGRAFICZNA

„Urodziłem się 9 października 1904 roku w rodzinie wojskowego topografa w Kamieńcu Podolskim — pisał Mykoła Bażan w swojej autobiografii. — Mieszkając w Humaniu, do 1918 roku uczęszczałem do Humańskiego Gimnazjum, a później przeszedłem do Humańskiego Technikum Handlowego, które ukończyłem w 1921 roku. Równocześnie z nauką w szkole pracowałem w Powiatowym Ośrodku Oświaty Politycznej i w Humańskim Studium Dramatycznym. W 1921 roku wyjechałem do Kijowa i wstąpiłem do Kijowskiego Instytutu Handlowego. Zaliczyłem dwa lata i przeszedłem do Kijowskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Tam też studiowałem dwa lata, ale kiedy zafascynowała mnie praca literacka, rzuciłem studia.

Moje pierwsze wiersze ogłosiła kijowska gazeta «Bilzowyk» w 1924 roku. Po wydrukowaniu kilku utworów zostałem przyjęty do pracy w gazecie jako reporter, a później jako współpracownik literacki. Przeniosłem się do Charkowa. Z gazety przeszedłem do pracy w kinie, ale nie zaprzestałem pracy literackiej”.

Tak zwięźle relacjonował pierwsze kroki swojej pracy poeta, który obok Pawła Tyczyzny, Maksyma Rylskiego, Wołodymyra Sosiury był jednym z najbardziej charakterystycznych przedstawicieli nowej, radzieckiej poezji

ukraińskiej, do której wszedł w składzie ukraińskich futurystów, Mychajła Semenki i Geo Szkurupija.

Zafascynowanie dźwiękowym aspektem wiersza zwróconego treściowo ku nowoczesności widać nawet w tytułach: *Surma jurm* (*Surma tłumów, Aeromarsz*). Tego typu wiersze drukował Bażan zarówno w almanachu *Żowtnewyj zbirnyk panfuturystiw* (Kijów 1923), jak i w gazecie „Bilzowyk” (Kijów 1923). Część z utworów pisanych w duchu wymogów futurystów-„panfutów” znalazła się także w pierwszym zbiorze poezji *17-ty patrol* (Charków 1926), ale już rok później w almanachu *Zustricz na perechresnij stanciji. Rozmowa trioch* (*Spotkanie na węzłowej stacji. Rozmowa trzech*), zgadzając się ze swoimi współtowarzyszami — Semenką i Szkurupijem, atakującymi zacofanie, nienowoczesność i otwierającymi „semafor w przyszłość”, odrzucając razem z nimi ludowe trafarety, Mykoła Bażan stwierdzał: „Otumanieni przez przekłete «proswitianstwo» (tendencje oświatowe — F.N.) XIX wieku, które wyrosło na owej «sztuce ludowej», zapomnieliśmy o wcześniejszych wiekach i dokonaniach kultury”.

Bacne wpatrywanie się w historię, co zaznaczyło się szczególnie wyraźnie w tomiku *Budowle* (1929), nie dało jeszcze w zbiorze *Rzeźbiony cień* (1927) tych właściwych tylko Bażanowi następstw, które później zogniskowały się w twórczości poety wokół problemu wzajemnych stosunków etyki i kultury. Ta przecież problematyka stanowi rdzeń ideowy poematów *Rozmowa serc* (1928), *Hoffmannowska noc* (1929), *Ślepcy* (1930—31), *Śmierć*

*Hamleta* (1932), wiersza *Getto w Humanii* (1930).

Historia, kultura, jednostka poddana ciśnieniu okoliczności dziejowych — oto krąg problemów kolejnych tomów wierszy Bażana: *Drogi* (1930) i podsumowującego zbioru *Poezje* (1930). Ustawicznie jednakże Bażana frapowała współczesność, czasem nawet ta najbardziej codzienna, bliska pracy poety, który w owych czasach zajmował się poważnie krytyką filmową, pisał scenariusze dla kina i zauroczony twórczą osobowością autora filmu *Ziemia* napisał o nim broszurę (*Ołeksandr Dowżenko*, Kijów 1930). Razem zresztą z Dowżenką Bażan wszedł w skład ugrupowania WAPLITE (Wszzechukraińska Akademia Proletariackiej Literatury) skupiającego wybitnych twórców pióra, pędzla, sceny i filmu.

Warto jeszcze raz powrócić do almanachu *Spotkanie na węzłowej stacji*, bo wyczytamy tam charakterystyczne wyznanie Bażana, który już wtedy usiłował spiąć przeszłość i teraźniejszość w kategoriach kultury, co zażądał w cyklu *Budowle*:

„Lubię Bramę Zaborowskiego i Dnieprostan. Lubię kulturę organiczną, mocną, a nie fałszowaną. Ukraina знаła tylko jedną taką kulturę, kulturę feudalną, kulturę Mazepy; pozna również i inną: kulturę proletariatu, kulturę budownictwa socjalistycznego”. Przy dyskusyjności sformułowań wszystkich uczestników spotkania, w postawie Bażana już wtedy uderzała dążność do zrozumienia sekwencji czasu i prawidłowości historii, o czym świadczą historiozoficzne poematy Bażana, a także niektóre jego cykle liryczne.



Wraz z pojawieniem się cyklu *Budowle* i poematów *Rozmowa serc* oraz *Śmierć Hamleta* (1932), pomyślanego jako epilog do *Rozmowy serc*, poeta wdzierał się do nurtu najbardziej współczesnej problematyki, w której dostrzegał styczność kultury i historii, historii i polityki.

Od *Śmierci Hamleta* — polemiki z duchowym rozwojem inteligencji — prowadziła prosta droga do poematu *Nieśmiertelność* (1935—1937), utworu określonego przez autora jako „trzy powieści o towarzyszu Kirowie”, oraz do liryków cyklu *Borysławskie opowiadania* (1940) pozwalających uświadomić ciągłość kulturalną ukraińskiej literatury, więź między twórczością Iwana Franki, „karpackiego dębu”, a twórczością samego Bażana i współczesnych mu poetów uznających, jak to było w przypadku Maksyma Rylskiego, koncepcję twórczości jako natchnionej pracy, mozołu, wysiłku, wypracowaną przez Iwana Frankę.

W ciągu lat 1936—1940 powstawał cykl wierszy Bażana *Podróże*, odzwierciedlający pasjonujący poetę proces poznawania Uzbekistanu, a zwłaszcza Gruzji, którą zwiedzał w towarzystwie Simona Czikowaniego, serdecznego przyjaciela wprowadzającego Bażana w tajemnice dawnej i nowej kultury gruzińskiej. Zaowocowało to oprócz licznych wierszy interesującymi przekładami z poezji gruzińskiej, a wśród nich przekładem arcydzieła Szoty Rustaweliego *Witeź w tygrysiej skórze*, wierszy Dawida Guramiszwiliego i innych.

Od pierwszych lat wojny Bażan znajdował się na froncie jako korespondent wojenny, pracownik polityczny,

redaktor gazety frontowej „Za Radiansku Ukrainu”, publicysta, autor pełnych pasji artykułów. Pasja, napięcie, wiara w zwycięstwo znalazły swoje odbicie w tomie wierszy *Przysięga* (1941), a zwłaszcza w *Stalingradzkim zeszycie* (1943) i w historyczno-patriotycznym poemacie *Danyło Hałycki* (1942), napisanym w stylu staroukraińskiej kroniki z XIII wieku korespondującej z przeżyciami ludzi radzieckich w czasie wojny z faszyzmem.

6 listopada 1943 roku Bażan wraz z oddziałami Armii Radzieckiej wszedł do zrujnowanego przez hitlerowców Kijowa. Następstwem wstrząsu przeżytego wówczas był tom wierszy *Kijowskie etiudy* (1944). Równocześnie z pracą literacką Bażan włączył się do czynnej pracy państwowej. Od 1943 roku był zastępcą Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, a od 1946 po 1949 rok — zastępcą Przewodniczącego Rady Ministrów USRR. Wielokrotnie był deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR i USRR, długie lata był Przewodniczącym Związku Pisarzy Ukrainy (1953—1959), członkiem KC KP Ukrainy, członkiem rzeczywistym Akademii Nauk USRR, stałym członkiem rozmaitych ciał społecznych, wydawniczych, kulturalnych. To wszystko użyczało poezji Bażana szczególnych cech więzi z palącymi problemami współczesności widzianymi najczęściej w aspekcie kulturalnym i historycznym.

Reminiscencje historyczne i współczesne przeżycia cechowały tom wierszy *Angielskie wrażenia* (1948), włączony w nurt toczony wówczas kampanii o pokój. Tom ten był w pewnej mierze zbieżny w tonacji z tomami

wierszy Tichonowa, Simonowa, Rylskiego, Kuleszowa, Mirzo Tursun-zade, Simona Czikowaniego.

W 1951 roku powstał cykl wierszy, wydany w roku następnym, podejmujący bogatą i złożoną problematykę stosunków ukraińsko-rosyjskich na przestrzeni wieków, a zwłaszcza w okresie po Rewolucji Październikowej — *Koło Spaskiej Wieży* (1952).

Wierny swoim przemyśleniom o kapryśnej ciągłości dziejów wrócił Bażan do problematyki historiozoficznej na przykładzie przeżyć Mickiewicza w Odessie w roku 1825, co znalazło swój wyraz w tomiku *Mickiewicz w Odessie* (1956), gdzie ukraiński poeta dał własny poetycki wykład idei przyjaźni Ukrainy i Polski.

W poezji Bażana lat pięćdziesiątych i późniejszej coraz wyraźniejsze miejsce zdobywała sobie problematyka internacjonalistyczna, sprawa wyjaśniania złożonych kontaktów Ukrainy z kulturą innych krajów. Zresztą jeden z tomów swojej publicystyki kulturalnej poeta zatytułował *Przyjaźń narodów, przyjaźń literatur* (1954). Nie znaczy to wcale, że w innych zbiorach publicystyki poeta omijał te zagadnienia (świadczą o tym tomy *Ludzie, książki, daty*, 1962, *Drogi ludzi*, 1969), ale w tym zbiorze zaakcentował szczególnie charakter międzynarodowych więzi literackich i kulturalnych. W twórczości każdego z pisarzy — od rodzimych, takich jak Taras Szewczenko, Iwan Franko czy Łesia Ukrainka, do obcych poetów dalekich epok — Aliszera Nawoi i Szoty Rustaweliego, Bażan dostrzegał powiązanie dwóch aspektów: własnego, rodzimego pierwiastka i elementów internacjonalizmu.

Jakby poetycką ilustracją takiego podejścia łączącego owe dwa aspekty zjawisk rozpatrywanych przez ukraińskiego poetę w kontekście rodzimym i światowym jest zbiór wierszy *Spotkania włoskie* (1961), w którym to Bażan rozpatruje zarówno rzeźby Michała Anioła, jak i przeżycia Łesi Ukrainki, często odwiedzającej Italię, na płaszczyźnie idei międzynarodowego braterstwa.

Wierny monumentalnemu widzeniu historii, skłonny do heroizacji swoich bohaterów poetyckich, Mykoła Bażan w poemacie *Lot przez burzę* (1964) pokazał skrótowo życie radzieckiej zwiadowczynie Oksany dokonującej niezwykłych czynów na tyłach hitlerowskiej armii i podsumowującej w czasie skoku spadochronowego swoje życie, swój lot przez burzę.

Dwa późniejsze cykle wydane jako osobne tomy — *Cztery opowiadania o nadziei* (1967) i *Humaniśkie wspomnienia* (1972) zaświadczyły o dalszej ewolucji Bażana. *Cztery opowiadania o nadziei*, określone przez autora jako wariacje na tematy R. M. Rilkego, to cykl dramatycznych, filozoficznych przypowieści o niezniszczalności humanizmu nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach dziejowych. *Humaniśkie wspomnienia* natomiast to cykl poetyckich nowel (w czasopiśmie ukazało się ich więcej, m.in. mikropoemat-„nowela” *Debora*, 1968) kontynuujących jakby typ poezji zrealizowany w cyklu *Mickiewicz w Odessie*.

W 1975 roku Mykoła Bażan zakończył refleksyjny poemat-rozmyślanie o sensie ludzkiego życia i zatytułował go *Nocne rozmyślania starego majstra*. Jest to

jakby psychologiczny portret człowieka, który oddał wszystko dla kształtowania oblicza nowego czasu i ładu, a jego poetycko przedstawiony życiorys jest jakby skróto-  
wym życiorysem heroicznego pokolenia, które czynnie uczestniczyło w najważniejszych dokonaniach i wydarzeniach kilkudziesięciu lat między wojną domową a powojenną rekonstrukcją.

Wgłębianiem się w przeżycia bohatera lirycznego, robotnika, majstra, Bażan wrócił jakby do dawnego sposobu przekazywania najważniejszych dylematów społeczno-filozoficznych, co ujawniły poematy lat dwudziestych i trzydziestych. Zasięg czasowy *Nocnych rozmyślań* jest, rzecz jasna, o wiele większy, jako że poeta zawarł w nim społeczną wiedzę zaczerpniętą z wielu wcześniejszych doświadczeń własnych i swojego kraju.

Kolejnym zbiorem wierszy (pomijając wielokrotnie wydawane wybory poezji, wiersze zebrane) był tom *Karby* (1978), za który poetę uhonorowano Nagrodą Leninowską. Ten tom wraz ze zbiorem mającym podsumowujący charakter, ale włączającym sporo wcześniejszych utworów, *Dorobek* (1979), stanowiły dokument zmian liryki Bażana. W odróżnieniu bowiem od wielu wcześniejszych tomów nacechowanych monumentalnością, rzeźbiarską plastycznością, swoistą bryłowatością użyczającą tej filozoficznej poezji wyrazistych kształtów, wiersze obu ostatnich tomów wydanych za życia poety ciążyły ku liryce pełnej żywiołu muzyki, ku liryce medytacyjnej, ale ciągle celnej, cyzelatorskiej, mocno żłobionej w twarde m tworzywie.

W ostatnich latach życia Mykoła Bażan poświęcił wiele wysiłku przekładom z różnych literatur, w tej liczbie i polskiej. Obok wierszy Mickiewicza, Słowackiego, które przekładał w latach pięćdziesiątych, skupił się na tłumaczeniach poezji Cypriana Norwida i Jarosława Iwaszkiewicza. Wiele też uwagi w ostatnich latach poświęcił autor *Rozmowy serc* przekładom wierszy R. M. Rilkego i młodego K. Marksa.

Mykoła Bażan był niejednokrotnie nagradzany — Nagrodę Państwową ZSRR otrzymał w 1946 r. za tomy *Przysięga*, *Stalingradzki zeszyt* i poemat *Danyło Hałycki* i w 1949 r. za tom *Angielskie impresje*. Otrzymał też kilka nagród literackich republikańskich, w tej liczbie Nagrodę Państwową USRR im. T. Szewczenki w 1965 roku za poemat *Lot przez burzę*.

W Polsce pierwszych przekładów poezji Bażana dokonano w 1936 roku. Przekładał go Tadeusz Hollender dla antologii zatytułowanej „Pięćdziesięciu z tej i z tamtej strony Zbrucza”, która jednakże nie ukazała się. Przekłady Bażana dokonane przez Hollendra ukazały się w tomie T. Hollendra *Z poezji ukraińskiej* (Czytelnik, Warszawa 1972).

W 1962 roku w przekładzie Anatola Sterna ukazał się dwujęzyczny tom *Mickiewicz w Odessie* („Iskry”, Warszawa, z przedmową Jarosława Iwaszkiewicza i ilustracjami Antoniego Uniechowskiego). Anatol Stern wydał też mały tomik wierszy Bażana *Rozmowa serc* (PIW, Warszawa 1967). Spory wybór utworów Mykoły Bażana został zamieszczony w *Antologii poezji ukraińskiej* (LSW,

Warszawa 1977) oraz w „Literaturze na świecie” (1978, nr 11). Poszczególne wiersze Bażana ukazywały się w różnych antologiach (w tej liczbie w *Stu trzydziestu poetów* Seweryna Pollaka (PIW, Warszawa 1975) i tomach przekładów poszczególnych tłumaczy, a także na łamach rocznika *Kalendarz Ukraiński* i w tygodnikach literackich. Niniejszy wybór jest najobszerniejszą prezentacją poezji Mykoły Bażana.

*Florian Nieuważny*

## SPIS RZECZY

Mykoła Bażan — rzeźbiarz słowa — <i>Florian Nieuważny</i> . . . . .	5
Paproć ( <i>Stanisław Jerzy Lec</i> ) . . . . .	21
Lubczyk ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	22
Noc Żeleźniakowa ( <i>Jerzy Litwiniuk</i> ) . . . . .	23
Krew w jasyr wziętych ( <i>Jarosław Iwaszkiewicz</i> ) . . . . .	24
Słowo o pułku ( <i>Tadeusz Hollender</i> ) . . . . .	26

### Cykl BUDOWLE

Katedra ( <i>Jerzy Zagórski</i> ) . . . . .	28
Brama ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	31
Budynek ( <i>Adam Galis</i> ) . . . . .	34
Nocny rejs ( <i>Józef Czechowicz, Anatol Stern</i> ) . . . . .	38
Rozmowa serc ( <i>Krzysztof Rozner</i> ) . . . . .	40
Hoffmanowska noc ( <i>Józef Waczków</i> ) . . . . .	52
Ślepcy ( <i>Józef Waczków</i> ) . . . . .	60
Karpacki dąb ( <i>Aleksander Baumgardten</i> ) . . . . .	69
Droga ( <i>Marian Jurkowski</i> ) . . . . .	71
Wicher ze Wschodu ( <i>Tadeusz Chróścielewski</i> ) . . . . .	73

### Cykl MICKIEWICZ W ODESSIE

Nad morzem ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	76
Improwizacja ( <i>Anatol Stern</i> ) . . . . .	78
Symfonia ( <i>Anatol Stern</i> ) . . . . .	82

### Z tomu WŁOSKIE SPOTKANIA

Przed posągami Michała Anioła ( <i>Włodzimierz Słobodnik</i> ) . . . . .	88
--	----



Pietà ( <i>Jerzy Jędrzejewicz</i> ) . . . . .	90
Irys Florancji ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	92
Klarnet Tyczyny ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	94

Z tomu WSPOMNIENIA Z HUMANIA

Preludium deszczowe ( <i>Józef Waczków</i> ) . . . . .	96
--	----

Z tomu KARBY

Prolog do wspomnień ( <i>Bazyli Nazaruk</i> ) . . . . .	101
---	-----

Cykl NOCNE KONCERTY

Studnia Leontowicza ( <i>Florian Nieuważny</i> ) . . . . .	103
Walc Sibeliusa w Leningradzie ( <i>Florian Nieuważny</i> )	107
Łakę otula już błogosławieństwo śniegu ( <i>Bazyli Na-</i> <i>zaruk</i> ) . . . . .	108
NOTA BIOGRAFICZNA . . . . .	109

Komitet Redakcyjny „Biblioteki Poetów”  
uprzejmie prosi jej prenumeratorów o nadsyłanie uwag,  
życzeń i sugestii dotyczących koncepcji serii,  
doboru poszczególnych poetów  
oraz opracowania edytorskiego pod adresem:  
LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
00-131 Warszawa, ul. Grzybowska 4, pokój 111



Wyd. I. Nakład 4650+350 egz.  
Pap. piśm. kl. III, 71 g, 70×100  
Oddano do składania 19 V 1986 r.  
Podpisano do druku we wrześniu 1986 r.  
Druk ukończono w grudniu 1986 r.  
Ark. druk. 3,875; ark. wyd. 3,75  
Drukarnia Kujawska  
Inowrocław, ul. Cegielnia 10/12  
Zam. nr 2570. P-40  
Cena zł 100.—

## BIBLIOTEKA POETÓW

jest serią tomików zawierających  
najcelniejsze utwory  
wybitnych poetów  
polskich i obcych.

## BIBLIOTEKA POETÓW

zapoznaje czytelników z twórczością poetów  
reprezentujących różne szkoły  
kierunki i style,  
jakie składają się na bogatą panoramę  
poezji dawnej i współczesnej

## BIBLIOTEKĘ POETÓW

można nabyć tylko drogą prenumeraty,  
którą przyjmuje  
Powszechna Księgarnia Wysytkowa,  
00-950 Warszawa, ul. Nowolipie 4,  
skrytka pocztowa 1003  
konto PKO: Warszawa, Nr 1586-68



54 / 102